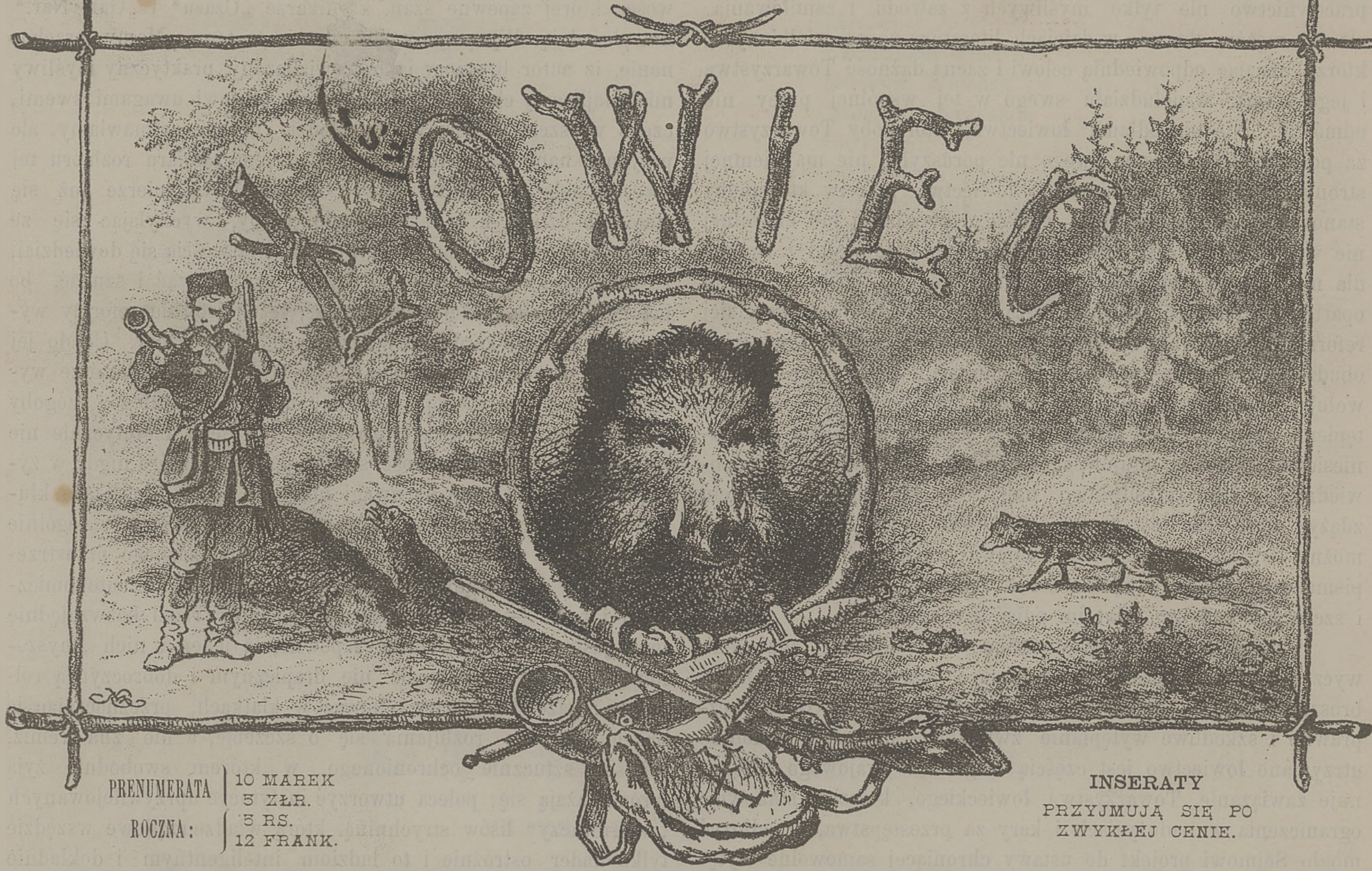
Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK | 5 ZŁR. | 5 RS. | 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

ODPOWIEDŹ.

„Czas“ z 5. i „Gazeta Narodowa“ z 15. Stycznia b. r., uwiadamiają o pojawieniu się broszury pod tytułem: „Uwagi myśliwskie dla wszystkich myśliwych i właścicieli dóbr ziemskich w Galicyi jakoteż w Królestwie Polskiem, napisał Józef Ożegalski. Kraków 1879, 8vo, str. 16“.

„Czas“ w kilku tylko słowach podaje treść tej broszury, „Gazeta Narodowa“ zaś objawia własne zdanie o niej, podnosi ją, a w końcu wyraża pragnienie, „aby myśl wyrażona w broszurze padła na dobrą glebę, i aby ktoś wziął inicyatywę w zawiązaniu łowieckiego towarzystwa z takim zakresem jak proponuje autor broszury“.

Mamy zaszczyt tak autorowi broszury jakoteż wyżej wymienionym dziennikom następujące z naszej strony przesłać uwagi: W Styczniu 1875 weszła w życie ustawa łowiecka dla kraju naszego — głównie w celu strzeżenia powagi tej ustawy, zawiązało się w r. 1876 galicyjskie Towarzystwo łowieckie, zatwierdzone w Kwietniu roku tegoż przez c. k. Namiestnictwo, którego Towarzystwa prezesem jest J. E. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, znakomity myśliwy, niemniej znakomity protektor wszelkich spraw dążących do podniesienia dobrobytu krajowego, wiceprezesem zaś wiceprezydent rządu krajowego JW. Oswald Bartmański, gorliwie w drodze oficyalnej popierający cele Towarzystwa łowieckiego. Stowarzyszenie to liczy obecnie 336 członków rozrzuconych po całym kraju, coraz szerzej rozwija swoje działanie, strzeże starannie powagi prawa odnoszącego się do łowiectwa, oznacza premje za wytępianie zwierząt drapieżnych, porusza wszelkie środki w celu wykorzenienia grasującego u nas kłusownictwa i ochronienia zwierzyny szlachetnej i pożytecznej, pozyskuje już uznanie swych pożytecznych działań i gorącą sympatyę nie tylko ludzi w tej mierze interesowanych, ale też w ogóle mężów troskliwych o dobro powszechne — wydaje jako organ swych celów i dążeń pismo pod tytułem „Łowiec“ rozpoczynające już drugi rok żywota swego. W roku przeszłym i bieżącym rozesłało Towarzystwo pierwszy numer tego pisma na okaz wszystkim Redakcyom pism polskich tak w kraju jak po za krajem nie dla reklamy, lecz jedynie w celu zwrócenia ich uwagi, iż nawet w zakresie mniej znaczącym w stosunku do spraw wielkiej wagi, ludzie dobrej woli wspólnemi siłami dążą do postępu. W rozesłanym w tym roku numerze na okaz daje wstępny artykuł treściwe sprawozdanie dotychczasowego działania galic. Towarz. łowiec. i wpływu pisma tak na naszą społeczność łowiecką jakoteż na łowiectwo samo. Pismo to w krótkim przeciągu czasu swego istnienia zjednało sobie szerokie wzięcie, uznanie gorliwie pro-

pagowanych zasad racyonalnego łowiectwa i rozległe współpracownictwo nie tylko myśliwych z zawodu i zamiłowania, ale też mężów słusznie w dziejach literatury naszej wielbionych, którzy uznając odpowiednią celowi i zacną dążność Towarzystwa i jego pisma, współudziału swego w tej wspólnej pracy nie odmówili. Nie ma odłamu łowiectwa, któregoby Towarzystwo za pośrednictwem pisma swego nie poruszyło, nie ma ujemnej strony naszego dotychczasowego łowiectwa, przeciw któremuby stanowczo i skutecznie bądź w drodze prywatnej lub oficyalnej nie wystąpiło; z całą usilnością staje ono do walki z zgubną dla myśliwstwa tradycyą, szerzy naukowe i na ścisłem badaniu oparte wiadomości, będące niezawodnie podwaliną wszelkiej reformy, stoi czujnie na straży poszanowania ustawy łowieckiej, obudza w myśliwych poczucie humanitarne i patryotyczne, nawołując nieustannie do chronienia zwierząt pożytecznych, tępienia szkodliwych i przyczynienia się tym sposobem do podniesienia bogactwa krajowego, wreszcie obmyśla środki odpowiednie, jakimi myśliwstwo najłatwiej do pożądanego celu zdążyć może. Nie jest to samochwalstwo — ale istotna prawda, można bowiem Towarzystwu odmówić umiejętności w działaniu, pismu jego wytykać ujemności w redakcyi — ale dobrej woli i szczerych usiłowań nikt im odjąć nie zdoła.

Takiem przejęci przekonaniem, wielce byliśmy zdziwieni, wyczytawszy w „Czasie“ doniesienie o pojawiającej się z prasy broszurze, która „zwraca uwagę na zagęszczone w Galicyi bezprawne i szkodliwe wytępianie zwierzyny, dowodzi, iż dobrze utrzymane łowiectwo jest częścią bogactwa krajowego, proponuje zawiązanie Towarzystwa łowieckiego, któreby stanowiąc ograniczenia w nadużyciach i kary za przestępstwa, przedłożyć mogło Sejmowi projekt do ustawy chroniącej samowolne wytępianie zwierzyny“. Przeczytawszy to doniesienie, a nie znalazłszy we Lwowie wymienionej broszury, zwróciliśmy natychmiast uwagę redakcyi „Czasu“ na uchybienie, jakiego się tem doniesieniem dopuściła, i prosiliśmy o sprostowanie. Wnet autor przysłał nam broszurę do ocenienia, a prawie równocześnie pojawiła się wzmianka o niej w „Gaz. Narod.“ z przytoczonym wyżej dopiskiem redakcyi. Gdyby szan. kronikarze „Czasu“ i „Gaz. Narod.“ byli raczyli nie z uwagą przeczytać, ale tylko pobieżnie przeglądnąć przysłany im na okaz pierwszy numer „Łowca“ b. r., byliby niezawodnie nie polecali od siebie zawiązanie Towarzystwa myśliwskiego, ale owszem, zgorszyliby się, iż autor broszury, występujący jako mentor opinii publicznej w tym kierunku, wcale nie wie lub wiedzieć nie chce o istnieniu od 3-ch lat takiego Towarzystwa, którego działanie już błogie dla myśliwstwa owoce w kraju wydało, byliby się nie mało zdumieli, iż autor broszury żąda od mającego się zawiązać Towarzystwa myśliwskiego przedłożenia Sejmowi projektu do ustawy łowieckiej, która przecież od 4-ch lat istnieje, coraz bardziej jest szanowaną i wykonywaną, a wymaga chyba rozszerzenia dodatkowego lub zmiany mało znaczącej. Czyliż „Czas“ i „Gaz. Nar.“ nie powinne były skarcić nawet autora broszury, iż występując w roli reformatora łowiectwa krajowego, nie zna wcale współdziałających w tym kierunku, a zwłaszcza sił zbiorowych Towarzystwa, znaczącego żywot już plonami swej pracy, a jeszcze bardziej skarcić były powinne, jeżeli ich wcale znać nie chciał. Czyliż nie należało go zwrócić na drogę właściwą? Tego tylko Towarz. łowiec. ma prawo wymagać od pism, które mają słuszną pretensyę kierowania opinią publiczną w każdej mierze, ocenienie zaś samej broszury wymaga fachowości, której zapewne szan. kronikarze „Czasu“ i „Gaz. Nar.“ nie posiadają. Wyręczymy ich chętnie w tem. Mamy przekonanie, iż autor broszury jako doświadczony, praktyczny myśliwy miał najlepszą chęć przysłużenia się krajowi uwagami swemi, czego wreszcie w pewnym względzie mu nie odmawiamy, ale przyznać nam raczy, iż przed powzięciem zamiaru rozbioru tej kwestyi należało się rozpatrzyć, co też w tej mierze już się stało lub dzieje, a w takim razie byłby, wychylając się ze swego zacisza na świat obszerniejszy, z łatwością się dowiedział, że Towarzystwa i ustawy nie trzeba projektować i szukać, bo już istnieją, ale raczej zreformować, jeżeli istotnie reformy wymagają. To jest kardynalny grzech autora broszury. Co do jej wartości wewnętrznej, musimy *sine ira et studio* szczerze wyznać, iż jest nie wielką, nie ma tam nic dodatniego, czegoby już Towarz. łowiec. praktycznie a pismo jego teoretycznie nie poruszyło, a natomiast dość stron ujemnych, które nigdy w życie nie wejdą. Cenne są uwagi lubo nie nowe, dotyczące kłusownictwa, poskramiania go wszelkimi środkami, a szczególnie kosztownemi upoważnieniami do polowania, karnego przestrzenia ustawy i czuwania nad nią władz rządowych i autonomicznych i t. d. — ale natomiast szan. autor radzi bezwzględnie tępić jastrzębie, nie wiedząc zapewne, iż jeden z nich „myszołów włochaty“ jest wcale nie drapieżnym i dobroczyńcą rolnictwa; każe kuropatwy chować w klatkach, przeznaczając je na męczeństwo rozbijania się o szczeble, a nie zna remiz, miejsca sztucznie ochronionego, w którem swobodnie żyją i rozmnażają się; poleca utworzyć instytucye uprzywilejowanych „wytruwaczy“ lisów strychniną, którą władze rządowe wszędzie tylko nader ostrożnie i to ludziom inteligentnym i dokładnie celów użycia jej świadomym wydawać pozwalają; stawia idealne cyfry (co nawet szan. kronikarz „Gaz. Narod.“ wytyka) przyszłych dochodów projektowanego Towarz. łow.; wreszcie proponuje na prezesa Towarzystwa hr. Artura Potockiego, niezawodnie znakomitego myśliwego, ale też od chwili zawiązania się galic. Towarz. łow. jego członka, a nawet śmiało możemy powiedzieć, protektora, który, jesteśmy tego pewni, przyzna niniejszym uwagom naszym zupełną słuszność.

Jeżeli powodem niewiadomości szan. autora broszury jest brak skrzętnej ruchliwości w sprawie łowieckiej w okręgu Krakowskim, to musimy nadmienić, iż w statucie galic. Towarz. łow. znajduje się §. 4, orzekający; „Za poprzedniem porozumieniem się z Wydziałem Towarz. utworzoną być może filia w Krakowie, jeżeli się zbierze najmniej taka ilość członków, iżby razem posiadali na mocy swych wkładek 100 głosów“. — Dalej §. 7. al. 4.: „Jeżeli utworzoną będzie filia w Krakowie, winien Wydział jej utrzymywać związek z Tow. ogólnem i jego Wydziałem“. — Wreszcie §. 8. al. 1.: „Towarzystwo odbędzie raz w roku walne zgromadzenie we Lwowie lub w Krakowie“. Niestety dotąd udział krakowskich myśliwych w Towarz. łow. jest nader nieliczny, więc o utworzeniu filii myśleć niepodobna, niech więc sz. autor wytęży raczej usiłowania swoje w celu pomnożenia liczby członków i utworzenia filii, a wtedy wspólnemi siłami pracować będziemy dla dobra powszechnego.

Tymczasem wdzięczni za jego orędownictwo w sprawie, która nam na sercu leży, zapraszamy go do grona Towarz. łowiec. całego kraju, a więc i Krakowa, a wspólnie osiągniemy łatwiej cel naszych dążeń, i wspólną też będzie nasza zasługa.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Bielański Gustaw, Dr. med.
Bobrowski Władysław hr.
Cętar Wojciech
Czechowicz Władysław hr.
Czerkawski Władysław
Dąbrowski Antoni
Eder Tytus
Fabricius Konstanty
Garapich Stanisław
Gnoiński Alexander
Greger Franciszek
Hohendorf Józef Kalixt
Jabłoński Mieczysław
Janicki Ryszard
Janowski Ferdynand
Kęplicz Waleryan
Kisielka Karol
Komarnicki Jan
Konopacki Mieczysław
Kornicki Karol
Krokowski Leon
Landemer Józef
Łastowiecki Piotr
Milewski Walenty
Mniszek Mieczysław
Obst Jan
Pawlikowski Konstanty
Podczaski Mieczysław
Marya z książąt Sanguszków hr. **Potocka**
Potocki August hr.
Potocki Wojciech Słanisław hr.
Raciborski Władysław
Remiszewski Kazimierz
Skarbek Borowski Józef hr.
Starzeński Leonard hr.
Starzeński Tadeusz hr.
Szczepański Kornel
Tarnowski Szczepan hr.
Tchorznicki Roman
Tchorznicki Władysław
Torosiewicz Kajetan

ŁEGAWIEC

Przez
KAZIMIERZA hr. WODZICKIEGO.

(Dokończenie).

Jak w ogólności przyjmujemy wynalazki i postęp angielski w chowie zwierząt domowych, tak przyjęliśmy i wyżły angielskie bez zastanowienia i zastosowania do naszych przestrzeni, stanu zwierzyny i naszych zwyczajów. Angielski *pointer* w Anglii jest to maszyna funkcyonująca bez myśli, instynktu, przebiegłości, zastanowienia, i doświadczenia, funkcyonuje ta specyalność do ściśle określonych celów. Z wiatrem wydoskonalonym, ze stalowemi nogami, z płucami wyzywającemi do walki choćby najsilniejszy wiatr, przy podziwienia godnem posłuszeństwie, szybkim biegiem obszukuje taki wyżeł znaczne przestrzenie ściśle ograniczone, wystawia zwierzynę lub powraca do swego pana oznajmić, że nie znalazł, nader rzadko aportuje, bo anglik mówi, że jego wyżeł nie służący, aby nosił zwierzynę. Spójni z panem swym nie ma żadnej, ma swoją psiarnię i wyłącznie jest do polowania używany, jak się używa strzelby, torby i kordelasa, uczucie i rozum w nim nie wykształcone, jest on narzędziem a nie towarzyszem. W Anglii są pola żywymi płotami zasłonięte, lub rowami ograniczone, tam wpada pointer, obszukuje ten kwadrat i oznajmia swemu stojącemu i czekającemu panu, co wyszukał, to samo czyni i w remizach nie posuwając się po za naznaczone granice. Widywałem także wyżły, z rodowodami od praszczurów, płacone po sto gwineów, z podziwiania godnym wiatrem i nieporównaną wytrwałością, lecz według mego zdania dla nas nie do użycia. I tak czy na rynku, czy na ulicy, w ogrodzie i w parku właściciel mu wskazał ręką kierunek i zawołał: szukaj, — mój pointer bez zastanowienia puścił się galopem, obszukał sklepy, domy, narożniki, obwąchał przekupki i przechodniów, wrócił do swego pana i oświadczył, że na tej przestrzeni nie ma zwierzyny. Gdybym memu wyżłowi któremukolwiek nakazał podobne poszukiwania, roześmiałby się lub teżby się obraził. Widziałem pracujące pointery w winnicach, prawda, że do drugiej nie biegły, lecz powracały do pana, wszakże tu niecierpliwość i znużenie nas opanowało, gdyż daleko i szybkim chodem szukający pies nie łatwo dał się odszukać, gdzie stał lub leżał do zwierzyny, a my godziny tracili na tem jałowem legawca szukaniu. Nie podpada wątpliwości, że pointer jest sforny, posłuszny i ma najzupełniejszy apel, lecz cóż to mi pomoże, gdy wiatr tępi jego słuch a mój głos, lub też gdy dla braku zwierzyny wymknie się za daleko, a w końcu dodać wypada, że posiada temperament gorący nad miarę, szuka w gorączkowem usposobieniu i nie zna zmęczenia, nawet przy ciepłej temperaturze. On szuka dla siebie a nie dla swego pana. Gdzie przestrzenie nie ograniczone lub nie zamknięte, tam między nim a myśliwym nie ma spójni, jak między maszyną i majstrem, więc gdzie znaczne łany, łąki lub zarośla, wyżeł może zniknąć zupełnie z widokręgu, stawać godzinami a nie dostarczyć zwierzyny. Nawet i na płaszczyźnie, na której zniknąć nie może pointer, jest nad miarę męczący z tej przyczyny, że zostaje o tysiąc kroków na prawo, drugi raz kilka tysięcy kroków na lewo, a gdy ten manewr kilkanaście razy w godzinie powtórzy, wtedy płucom myśliwego grozi zapalenie, nogom kurcze, a namiętności myśliwskiej znużenie i zniechęcenie. Ten gatunek wyżłów staje tak twardo, że skamienieje, przez kilka godzin nie ruszy się wcale, takiego więc wrytego w miejsce psa można w zaroślach szukać przez pół dnia. Jego posłuszeństwo i znakomity apel mało tu pożyteczny, gdyż wołając lub świstając na niego przy szukaniu często zbijamy go ze zwyczaju i zniechęcamy, on wtedy nie mogąc szukać jak chce i jak się nauczył, traci ochotę i bałamuci. Pointer nie myśli,

nie zastanawia się i nie korzysta z doświadczenia, on nigdy nie spłoszy zwierzyny z własnej chęci, lecz płoszy ją szybkiem i impetycznem szukaniem, np. nigdy tego nie pojmie importowany pointer, a nawet częstokroć u nas spłodzony, że na bagnie trzeba wolno szukać, a nie płoszyć ptaków galopując i pluskając po wodzie. On gdy spostrzega zrywające się kszyki, mocno się dziwi, przystawa, lecz zaraz dalej bije łapami po wodzie i wypędza ptaki.

Kudłate *Settery*, czyli psy z długim włosem, nie posiadają wprawdzie tak znakomitego wiatru i tej wytrwałości pointerów, posiadają wszakże więcej intelligencyi i są o wiele mniej impetyczne, oraz charakteru łagodniejszego, ale w czasie upałów pod swym kożuszkiem męczą się, tracą wiatr, a niekiedy zjajane odmawiają służby myśliwskiej. Czy kto krzyżował pointery z setterami, tego nie wiem i sam nigdy nie próbowałem, krzyżowanie wszakże setterów z naszymi różnymi z gładkim włosem psami, daje znakomite potomstwo. Wyznać muszę, że zniechęciłem się do kudłatych psów, znakomitych wyłącznie na wodach i błotach, a nieznośnych na suchem polu, gdy się kładą, zjajane mówią mi, że już ani kroku pójść nie mogą, i rwą solidarność i łączność psa z myśliwym. Nie przeczę bynajmniej, że krew i pochodzenie jest skarbem, lecz do tego skarbu należeć muszą przymioty udowodnione w kilku generacyach bez kardynalnych wad, nie dających się dresurą wykorzenić. Krzyżowanie (jeżeli się tak wyrazić mogę) domorodnych wyżłów znakomitych z pointerami, wydaje nader pożytecznych legawców do wszelkiego myśliwskiego użytku, a dalej pointery wychowane w naszym kraju, na naszych niwach, systematyczną dresurą, — oto psy dostarczające zwierzynę a ubarwiające myśliwskie życie. Pointery w ciągu kilku generacyi stopniowo tracą gwałtowność ruchów, zaślepienie w szukaniu, gdy są systematycznie prowadzone, nabierają intelligencyi, uczucia dla swego pana, uczą się aportować, a nawet z wody przynosić, przeistacza się ich natura na nasz pożytek, przestają być maszynami, działającemi w jednym kierunku i wykształcają się na pomocników naszych. Jak w ludziach tak i w psach wychowanie jest podstawą, byle były dobre pierwiastki. Nader wiele napotykamy doskonałych psów bez cechy ich pochodzenia, można je nabywać, a nawet drogo płacić, lecz bez ich rodowodu trudno liczyć na cnoty i zalety w progeniturze. Jeżeli je do krzyżowania użyć chcemy, wtedy psa czy sukę mieć musimy z rodowodem i pewną wiadomością o przymiotach. Dwoje psów bez metryk, pomimo ich zdolności, może nas uposażyć lichymi legawcami, skoki bowiem ku złym antenatom (Rückschlaege) są udowodnione w chowie zwierząt domowych Nie podpada wątpliwości, że suki w ogólności mają więcej sprytu i intelligencyi, oraz że są łatwiejsze do ułożenia i prowadzenia z powodu łagodności ich charakteru, lecz z drugiej strony to ich ciekanie, ich ciężarność, szczenienie i karmienie szczeniąt, paraliżuje polowanie i musi myśliwego do suki zniechęcić, gdy ona w najważniejszej chwili, posłuszeństwa w służbie odmawia. Miałem znakomite suki, woziłem im szczenięta w koszyku i ssać dawałem po kilka razy na dzień. Posiadałem sukę wystawiającą mi z bryczki kszyki, gdy koło bagna jechałem, dalej suczkę wystawiającą z dobrym wiatrem kszyka w odległości 300 kroków od myśliwego, wzbudzającą podziwienie mych znajomych; a w końcu miałem tak namiętnie lubiącą polowanie, że przy szukaniu rzuciła dwa szczenięta i dalej rewirowała, a trzecie mi w wózku na butach urodziła. Pamiętam dwie suki nieznanego mi pochodzenia, posiadające cenną zaletę spędzania do kupki ptaków. Lecz te światłe strony nie pokryją cieniów, mianowicie gdy się suka w roku cieka przez 28 dni, nosi jak torba 128 dni, a karmi przez 180 dni, one zaiste są znakomite do psich haremów, lecz myśliwego do rozpaczy prowadzą. Suka dobrego pochodzenia z udowodnionymi przymiotami ma być przez właściciela lub współkę utrzymaną, lecz ona nie może być wyłącznym pomocnikiem zamiłowanego myśliwego, niech w wolnych od macierzyństwa chwilach wprawia się na polu i bagnie, lecz jej przeznaczeniem jest rodzić.

Są przymioty i zalety legawca drogocenne, i te starać się musimy w dalszych generacyach utrzymywać, są kardynalne wady, powiedziałbym nałogowe, a z temi psa trzymać nie warto, ani poświęcać mu pracę, gdyż wyjątkowo tylko wynagrodzeni zostaniemy, a najczęściej nam strują życie. Inne wady mniejszej doniosłości usuniemy systematyczną dresurą i częstem prowadzeniem w pole, oraz układaniem w pokoju, stanowiącem podstawę posłuszeństwa i zaparcia siebie, które w legawcu koniecznie wykształcić i wkorzenić należy.

Główne zalety wyżła są czuły i mocny wiatr, siły, zdrowie, lekkość ciała i pewien stopień intelligencyi, widoczny już w dorastającem szczenięciu. Pamiętam takie psiuczki w szóstym miesiącu szukające doskonale przepiórki i czołgające się za wyciekającymi ptakami, a już zainteresowane wróblami, gołębiami na podwórzu, nie płoszące wcale. Wyżeł mający posiadać najwyższą dla nas cnotę, to jest posłuszeństwo i zaparcie siebie, musi ją nabyć w towarzystwie swego pana, aby pojął, że bez pozwolenia on nic czynić nie może, że jest niewolnikiem, ale otoczonym miłością, troskliwością i czułą opieką. Ta subordynacya, nazwana apelem, jest podstawą polowania, legawiec dający się odwołać od smacznego jadła, da się odwołać i na bagnie, gdzie bystre kszyki nie dotrzymują, również i od szybko ciekających kuropatw, które z przodu zajść wypada. Obcowanie częste i codzienne z legawcem, mówienie do niego, nagradzanie pojęcia i posłuszeństwa, a karanie złego wykształca umysł i intelligencyę, a przykuwa psa do swego pana uczuciem. On znając wartość kary i nagrody doskonale sobie wyrozumuje, jak postępować trzeba. Sam posiadałem wyżła, któremu zakładałem korale na sznurze, ile razy nie dawał się pohamować, i doskonale tę karę pojmował; z drugim zaś przez całe życie bez korali ostrych przy długim i grubym sznurze polować nie mogłem. Tak jak konie nie koniecznie ze złości unoszą, tak i wyżły są czasem rozwścieklone namiętnością, i najsroższe kary nie wstrzymają zapędu takowych.

Wady główne najczęściej nie do poprawy są:

a) Pies szkodnik w domu, po wsi, w kurniku i w spiżarni — podstępny to i znienawidzony złodziej.

b) Wykradający się sam na polowanie w dzień i w nocy, a do tego namawiający inne psy do tych łowów. Raz zasmakowawszy w tej rozrywce, już jej nie zaniecha. Miałem podobnych kilka psów, i żadne kary nie pomogły, musiałem je postrzelać, lub w dalekie okolice darować.

c) Wyżeł z krótkim i słabym wiatrem.

d) Wyżeł słaby, męczący się przedwcześnie.

e) Wyżeł wietrzący po ziemi, a nie szukający wiatru z podniesioną mordą.

f) Wyżeł nie znoszący zasłużonej kary, po której się zniechęca lub do domu ucieka.

g) Pies nie pilnujący swego pana i domu, włóczęga wałęsający się po wsi i po drogach.

h) Pies bez zamiłowania do polowania lub łatwo zniechęcający się w szukaniu.

i) Wyżeł nie mający ochoty do polowania w pierwszem polu i szukający za namową jak proszony, taki pies nie godzien pracy układania. Posiadałem nie jednego z dobrego miotu bez namiętności, więc jako z sprzecznością ze mną musiałem się zawsze z takimi psami rozstać.

Wady zaś gonienia za zwierzem i ptakiem, nieposłuszeństwo, porywczość, złość, psucie ptaków przy aportowaniu, wstręt do wody, bawienie się myszami i ptaszkami, szukanie w prostej linii bez myśli i wiatru — te wady cierpliwe i wytrwałe prowadzenie usunie z pewnością w drugiem polu.

Pies w psiarni lub w obcowaniu ustawicznem z obcymi lub strzelcem, a używany wyłącznie do polowania przez swego pana, może być angielską maszyną dobrze funkcyonującą, lecz nie nabędzie ani zmysłu myśliwskiego ani potrzebnej intelligencyi. Pies od swego pana i chlebodawcy przejąć musi część nauki myśliwstwa, wiedzieć na co i gdzie ma polować, jak hamować swe zapędy i złe pokusy zwalczać. Pamięć u zwierząt jest dostatecznie udowodnioną, aby dyskussyi podpadała, chodzi więc o to, aby obowiązki służby tak się wryły w pamięć wyżła, iżby o nich nigdy nie zapominał. Wieleż to razy widzimy wyżła posuwającego się za porywającym się ptakiem, za pomykającym zającem lub też bezmyślnie płoszącego ptaka i w tej samej chwili przypominającego sobie grzech popełniony i okazującego żal i skruchę bez żadnego poprzedniego upomnienia. Wyżeł stanowiący jedność z myśliwym patrzy mu w oczy i cieszy się z dokładnego spełnienia swych obowiązków i danych mu poleceń, a wstydzi się popełnionych uchybień. Wychodząc z tego przekonania, że dresura przymusowa *(par force)* nie dostarczy nigdy przyjemnego, pożytecznego i wykształconego legawca, nie chcę się nad nią zastanawiać, najczęściej bowiem ona zniechęca psa, czyni go lękliwym, stroniącym od swego pana, jednem słowem tworzy niewolnika z wszystkiemi jego wadami, a że ja jestem wielbicielem wolności i szukam węzła łączącego uczuciem dwie istoty w jedną, więc ową dresurę przymusową stanowczo potępiam. Są wprawdzie wyjątkowe gwałtowne natury z rozhukaną namiętnością, nie łatwo dające się okiełznać, które wyjątkowo przełamywać trzeba siłą, lecz rzadko kiedy takie układanie się udaje z powodu obopólnego zniechęcenia. Byle wyżeł miał doskonały wiatr, stalowe nogi i silne płuca, czuł przywiązanie do swego pana, a posiadał namiętność do polowania, wreszcie intelligencyę, to z pewnością stworzy z niego myśliwy pożytecznego pomocnika dla siebie.

Rozliczne są stopnie uczucia i czułości w legawcach, należy przeto przedewszystkiem charakter psa poznać i do niego kary stosować. Jeden pies znosi, jak to mówią, furę kijów, inny już w połowie kary jest w rozpaczy, uczuwa żal i gniew, staje się mściwy i zniechęca się, a w szczególności tak jak chłop polski, doskonale rozróżnia zasłużoną od niezasłużonej kary. Są silne i namiętne psy, do których można strzelać dunstem, i wtedy dopiero poprawiają się czyli hamują swą gwałtowność. Miałem doskonałe wyżły postrzelane jak rzeszota, a namiętne do polowania pomimo sączącej się krwi. Są znowu legawce, którym wystarcza łagodne napomnienie lub lekka kara. I tu jest rdzeń sprawy układania psów. Nie ma nic wstrętniejszego dla prawdziwego myśliwego jak widok legawca biciem zniechęconego i od strachu strętwiałego *(ein verschlagener Hund)*, taki pies jest jawnem świadectwem, iż pan jego był bezmyślnym strzelcem, a nie myślącym i praktycznym myśliwym, Pies przedewszystkiem musi pojąć, o co rzecz idzie i czego pan jego wymaga, instynkt tu nie wystarcza, instynkt każe szukać, stawać, później płoszyć i gonić w celu złapania ptaka — nauka zaś nakazuje oglądać się za panem i mierzyć rozdział, wytrzymać przed ptakiem do chwili, w której pan pozwoli iść naprzód, stać po chybionym strzale, a po trafnym aportować, dalej niekiedy spojrzeć na swego pana i jego ruchy, aby wiedzieć, w którą stronę ma swe szukanie obrócić. Pies ma wyrobić tyle zaparcia samego siebie, iżby się dał odwołać, gdy wystawił zwierza lub ptaka, — tego wymaga system myśliwstwa, a częstokroć uczynność i uprzejmość dla towarzyszów. Po strzale, przy nabijaniu winien siedzieć lub leżeć przy nogach, a nigdy nie polować bez pozwolenia. Na ten przymiot wielkiej wagi nie wszyscy myśliwi uwagę zwracają, a często zdarza się, że ptaki strzałem zelektryzowane, tak już czujnie siedzą, że gdy pies się zbliży, one się zrywają. zanim myśliwy za psem zdążył, to się stosuje do cietrzewi, głuszców, kszyków, dubeltów i kuropatw, w ogólności do stadnych ptaków lub w rodzinie przebywających.

Roztargniony myśliwy, spuszczający swego legawca z oka na polowaniu, z pewnością nigdy dobrego i posłusznego mieć nie będzie, bo oni tworzą nierozdzielną współkę i połowicznie pożytku nie znajdą.

Zwyczajem niestety bardzo u nas rozpowszechnionym jest puszczanie psa koło bryczki, środek to najpewniejszy zepsucia wyżła, uganiającego w takim razie po polu z uczuciem wolności, i nad siły się męczącego — lub też zmuszanie go batogiem do biegu za wózkiem, przy czem się objada kurzu i błota, traci część swego wiatru i nuży się niepotrzebnie. W ogólności wyżły nie lubią jeździć, jeżeli przed polowaniem wskakują na bryczkę, to jedynie aby swą radość okazać, lecz wnet skore są do wyskoczenia, bo wiedzą, że pełnić mają służbę na nogach. Wożenie psów jest ściśle złączone z układaniem. To niechętne i ofiarne siedzenie wbrew woli i instynktowi wyrabia posłuszeństwo, zaparcie się siebie i ofiarność, które to cnoty widzieć pragnę w mym towarzyszu myśliwskim, a które są łącznikiem tworzącym wspólność w pozyskaniu zwierzyny. Przedewszystkiem nie należy prowadzić młodego, jak mówią, niepewnego psa na jałowe pole, bo tam zużyje bezpożytecznie swe siły, zniechęci się i pocznie grzebać za myszami, szukać i gonić skowronki, jemu trzeba na zachętę i pokusę w jak najkrótszym czasie pokazać zwierzynę. Również ważną jest przestroga, aby z takim psem nie iść do lasu, gąszcze bowiem uczą bezkarności i nieposłuszeństwa, budzą zachcianki gonienia za zającami, spinania się po drzewach itd. Plagą dla myśliwych jest gonienie wyżłów za zającami, albowiem nie tylko zużywają bezpożytecznie swe siły, lecz i myśliwy traci czas, niecierpliwi się i częstokroć grzeszy zbyteczną surowością, a pies nagoniwszy się traci wiatr i chęć do szukania ptaków. Na tę rozpowszechnioną wadę znam tylko jeden środek, a ten jest w pokazywaniu psu jak najwięcej zajęcy, które z początku z zawziętością goni, a gdy się przekona, że żadnego złapać nie może, zniechęci się i odzwyczai od tej niecnoty. Następnie przy nagankach zimowych i na słonkach należy trzymać psa przy sobie, aby dużo zajęcy widział a nie puszczał się za nimi, później zaś przy nodze trzymać bez sznura, i sykaniem przypominać nakazane warowanie. — Prowadzenie młodego psa na chruściele (derkacze) lub kurki wodne uczy go spieszyć za ptakiem, a ciekący ptak wcześniej

czy później zniewala psa do skoków i płoszenia wskutek zniecierpliwienia. — Psa, który przebył nosaciznę i takowej już nie dostanie z powodu zaziębienia, najlepiej układać na niezbyt mokrych i nietrawistych bagnach.

Ktokolwiek posyła młodego psa za postrzelonym zającem, wprawia go na długi czas do gonienia, również strzelający na polowaniu na pióra do szaraków, może być pewnym niesforności swego psa. Dwie trzecie części wyżłów nie ruszą się za niestrzelanym zającem, a po strzale pokusy zwalczyć nie mogą i puszczają się w pogoń pomimo świstu i nawoływania. Emeryty psy umieją rozróżnić potrzebę gonienia i potrzebę wstrzymywania się od pogoni. Znałem wyżły posuwające się za zającem strzelanym jedynie do tropu, a gdy farby nie zwietrzyły, powracały spokojnie do nogi; przeciwnie zaś postrzelonego goniły aż do jego śmierci.

Tak w koniach jak i psach spostrzegamy różne stopnie intelligencyi, a obcowanie ze zwierzęciem wykształca ją; bywają znowu nieuki nie przyjmujące wykształcenia. To samo powiedzieć możemy o pamięci. Jeżeli legawiec jest głupi i bez pamięci, trudno go wychować na pożytecznego pomocnika, bo on posiadać musi spryt i ów stopień pamięci, jaki wyrabia doświadczenie.

Jeszcze raz powracam myślą do psów niewiadomego pochodzenia, przedstawiających najwyższy stopień intelligencyi częstokroć z ujemnemi stronami, mianowicie: wiatru ostrego i wybornego sposobu szukania a oraz nieposłuszeństwa. Takie psy umiejętnie krzyżowane mogą nam dostarczyć pomocników zdolnych do wszystkich sposobów polowania, bez wad wysoko rasowych wyżłów, posiadających swe specyalności. Widywałem znakomite psy na suchem polu, a gałgany na bagnach i na stawach, a nam o to chodzić musi, aby mieć psy do wszelkiego rodzaju polowania. Francuzi tę zasadę dawno w życie wprowadzili, i posiadają mięszane rasy legawców, gdy przeciwnie w Galicyi pointery coraz więcej się rozpowszechniają, psując nam polowanie na bagnach i w krzakach. Nic trudniejszego, jak ułożenie psa do polowania w gęstwinach, osłaniających jego działanie, a że u nas najczęściej polujemy na kuropatwy i na słonki w zaroślach, przeto wyżeł trzymający się myśliwego jest wielkiej wartości, a do takiej odpowiedniej służby trudno ułożyć psy angielskie gorącego temperamentu z szybkim chodem.

Nie ulega wątpliwości, że zły myśliwy nigdy nie będzie posiadał dobrego legawca, a jeżeli dobrego kupił, to go wnet popsuje, nabędzie bowiem wkrótce wad i narowów. Strzelec chybiający często do wystawionej zwierzyny, zepsuje lub zniechęci psa pracującego jedynie w tym celu, aby widział zabitą zwierzynę przez niego wyszukaną. Nieraz widziałem znakomite psy goniące za ptakami, uciekające do domu lub nie szukające wcale zwierzyny po kilkunastu chybionych strzałach. Rozgorączkowany i szybkonogi strzelec, goniący za psem, niecierpliwiący się, nie wskazujący legawcowi przestrzeni, na której zwolna i dokładnie każdą piędź ziemi obszukać powinien, nie wyczekujący wystawienia zwierzyny, strzelający do spłoszonych ptaków, spieszący do ubitej zwierzyny, łatwo w gniew wpadający, karzący niesprawiedliwie — nie będzie z pewnością nigdy miał dobrego wyżła.

Stosunek myśliwego do legawca jest stosunkiem przyjaźni, wspólnego dążenia i pożycia, łączy ich z sobą silnym węzłem uczucie, wdzięczność, interes i cel ich wspólnych zabiegów, uczą się wzajemnie, przejmują się ufnością do siebie, wzbogacają się pożądanem doświadczeniem i zlewają się w jedność w celu ubiegania się o zwierzynę. Myśliwy nie obcujący z swym wyżłem, prowadzonym często przez obcych na polowanie, nie okazujący mu dowodów uczucia, starannej opieki i troskliwości, wyjątkowo chyba może mieć rozumnego, zdatnego do łowów i przywiązanego legawca.

10. Grudnia 1878.

A HAJŻE GO! HA!

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

Co mi diabli zławiać tłumem,
Za psim w tropy biedz rozumem?
To mi licha gra!
Nasz brat w polu, świat otwarty.
Dawaj konia, na smycz charty!
A hajże go! ha!

Na koń! na koń! a ochoczo!
Patrz, jak stępem konie kroczą,
Jaki piękny świat!
Więc szeroko zająć światem,
Kot dziś siedzi na kosmatem,
Lub pod skibę padł.

Przypadł, siedzi, pal z harapa!
Ależ palnął! Ależ szkapa!
Patrz, jak chart to zna.
Odkąd stepy, odkąd gracze,
I na stepie dojeżdżacze,
Krew tych chartów gra.

Sławne charty ziemi buta.
Hej, gdzie Czehryn, gdzie Sławuta
Każdy zna ten ród,
I niejedno tam zawiedzie,
Lecz z tym chartem człek na przedzie,
I nie próżny trud.

Sokół poda wichrom skrzydło,
A ta *Strzałka* to pieścidło
Czy widzisz jak drzy?
To rączości i krwi znamię,
Ród nie zwodzi, krew nie kłamie,
Ale ogniem skrzy.

Na trzy smycze pierwsze pole,
Ale gniazdo to sokole,
Więc nie pola licz,
Tylko otwórz dobrze ślepie
I nie prześlep co na stepie,
Tylko gracza życz.

Raźno idą konie szlakiem,
I człek radby zlecieć ptakiem,
Bo jak pomkniem w dzicz,
I jak ruszym z miejsca kota,
To dziurawą czapkę złota
Za charta mi licz.

W polu człowiek coś tam warty,
Gdy koń pryska, skomlą charty,
To mi graj w tę grę!
Bo na łupie tylko siada,
I na nagiej skale składa
Orzeł gniazdo swe.

Zawsze było moje zdanie,
To mi męskie polowanie,
Gdy człek na koń siadł,
Gdy z sokołem łowów niema,
Tem się człowiek jeszcze trzyma,
Że na koniu chwat.

Bo i w koniu, bo i w człeku
Krew dowodna płynie z wieku
Wielką dziejów grą.
Nie zająca, lecz sumaka *)
Bierze u nas już smycz taka
Tak te charty rwą.

Hajże! hajże! jak tarninka,
Kot zaspany dał kominka,
Znać swą sztukę zna;
Znaj Sokoła teraz z lotu,
Już go liznął bez obrotu
A hajże go! ha!

*) Sumak — dzika koza.

LIS DENUNCYANT.

AKT II.

(Piękny poranek zimowy w lesie Poturzyckim. — Dzik i lis spotykają się).

LIS.
Jak braciszku wam się spało?
Toż wam dobrze się udało.
Wczoraj był to dzień gorący
Tak żem dotąd o was drżący —
Jak do tarczy w was strzelali.

DZIK.
Lecz żadnego nie dostali.

LIS.
Bo w tem moja była głowa.

DZIK.
Twoja? Zkąd znów?

LIS.
Rzecz nie nowa.
Któż ci wczoraj doniósł Panie,
Że tu będzie polowanie,
Wyście jednak nie wierzyli,
Aż was w miocie zaskoczyli,
Gdy już z wami było krucho,
Stał pod ową brzozą suchą
Z Turczynowa pan wspaniały, —
Tam uszedłeś przecie cały —
Jam to wskazał stanowisko.

DZIK.
A wiesz, żem był śmierci blisko.
Tak zahuczał ze swej broni,
Że mi dotąd w uszach dzwoni.

LIS.
Gdym ocalił wasze życie,
Cóż mi za to zapłacicie?

DZIK.
Z tobą trudno coś uchować,
Jak żyd lubisz się targować.

LIS.
Ze mną jest interes gładki.

DZIK.
Ścierwa dam ci zjeść ostatki.

LIS.
Fe! ostatki te któż zbiera?
Dziku, z ciebie wielki sknera!
Jam ci życie uratował,
Tyżbyś ścierwem mnie częstował?
Oto daj mi przyjacielu
Jedno z tych warchlacząt wielu,
Które locha, twoja żona
Arcy miła, cna matrona
W świat powiedzie w Kwietniu, Maju.

DZIK (oburzony).
Chcesz mi dzieci zjeść hultaju?!

LIS.
Mieć ich będziesz z pietnaścioro,
Z taką dziatek hurmą sporą
Wszak wydatków jest nie mało,
A tu wszystko podrożało,
Bo i żołędź nie zrodziła,
I kartofla coś przegniła,
Ścierwo rzadki dziś dar nieba,
A o grzyby żebrać trzeba,
Daj mi dziku choć jednego
Choćby nawet najmniejszego!
Bo jak nie dasz... jak tu stoję,
Sam ukradnę ich ze troje —
Jedno tylko — cóż to szkodzi?

DZIK (znudzony).
Zjedz go skoro się urodzi.

LIS (do siebie).
Mam więc jedno prosię ładne,
A już resztę sam ukradnę.
(wchodzi stadko mniejszych dzików).

DZIKI (do lisa).
Czemuż wczoraj z drżeniem takiem
Nas straszyłeś Wołyniakiem,
Wszak to dobre człowieczysko,
Takeśmy mu wyszli blisko —
On się jednak ulitował,
I pięć razy nas spudłował,
Więcej takich dajcie nieba —
A Mazurów nie potrzeba!
(Sarna skrwawiona z racicą na temblaku wpada na scenę).

SARNA.
Biegnę do was pełna zgrozy,
Tu w sąsiedztwie biją kozy!
Na małżonka polowali,

I mnie biedną zestrzelali.
Tak mi słabo! — jakżem chora!

LIS (z pośpiechem).

Pani! we mnie masz doktora.

DZIK.

Za myśliwski czyn nieprawy,
Za zgwałcenie to ustawy,
Radzę bez żadnego względu
Zanieść skargę do urzędu.

SARNA.

To zapóźno! już nie zdołam!
O ratunek darmo wołam,
I łzy leję i narzekam,..
Już się dziatek nie doczekam.
(Chwieje się, pada i umiera).

LIS (z czułością patrzy na nią i łzy ociera).

Tej sarneczki żal mi szczerze:
Zjem ją dzisiaj na wieczerzę.
(Słychać w dali wystrzał),

DZIKI.

Cóż to znowu jest za licho?

LIS.

Wnet obaczę — stójcie cicho!
(Wybiega za scenę i po chwili wraca w największym przestrachu).
Gwałtu! w nogi, gdzie kto może!
Już myśliwi znowu w borze,
Już pogónkę rozstawiają,
Ten miot właśnie gonić mają!

DZIK (z rozpaczą).

A to boskie jest skaranie!
Ciągłe tutaj polowanie!

LIS.

Trza się spieszyć, bo czas drogi,
Ogon w górę! dalej w nogi!

DZIK.

Lecz którędy? poradź bracie!

LIS.

Tak? a co mi za to dacie?

DZIK.

Gdy mi podasz sposób jaki,
Dam ci wszystkie me warchlaki.

LIS.

W moje zdanie radzę wierzyć:
Na pogónkę wnet uderzyć.

DZIKI.

Dobrą radę dał lisiura:
Na pogónkę! hura! hura!
(wybiegają galopem wprost ku pogónce.)

LIS (do dzika).

Spiesz się także — już czas pono,
Słyszysz? właśnie zatrąbiono!

DZIK (z dumą).

Tak odyniec się nie zniża,
Na pogónkę nie uderza,
Gdybym ja się tak wykpiwał,
Nasz pan bardzo by się gniewał,
Ja na strzelców pójdę w pędzie, —
Potem niechaj co chce będzie!
(słychać wystrzał na linii strzelców)
Aj strzał!

LIS.

Próżna trwoga taka,
To samopał grzmi Rybaka.

DZIK (z pospiechem).

Więc tam pójdę.

LIS (wstrzymując go).

Strzeż się tego,
On ma straszną broń Dreysego.

DZIK.

Więc mi podaj sposób jaki,
Jeśli chcesz zjeść me warchlaki.

LIS.

Słuchaj! śród tych licznych gości,
Różne masz narodowości,
Bardzo groźna ich postawa,
Z nimi będzie trudna sprawa,
Wszędzie błyszczy lufek cztery,
Jest jenerał od Landwery,
I z nad Zbrucza Podolanin,
I ów Zdzisław Sanoczanin,
A u skrętu skrzydłowego,
Nasz Pan obok Bazylego.

DZIK.

Gdzież iść? mów! drży na mnie skóra,
Choć jednego daj Mazura!

LIS.

Otóż rada moja taka:
Idź na Włodzia Podolaka,
Tam od Markowego kąta
Nuż znów sztuciec z krzesłem spląta,
Wiesz — tak w roku zeszłym było,
I spudłował, że aż miło!

DZIK.

Tak — lecz potem się poprawił,
I dubletę nam wyprawił.

LIS.

Więc idź tam, gdzie Pan ze Lwowa,
Co Marsallę w flaszce chowa,
Co kulami tak dołuje,
Ma krzesełko, co się psuje,
Aż trzy strzelby i lornety,
Różę zamiast cygarety.

DZIK (przestraszony).

Tam iść radzisz? jakżeś głupi!
On niedźwiedziom skórę łupi!

LIS.

Więc nie będzie czyhał skrycie
Na Waszmości nędzne życie.

DZIK (z niedowierzaniem)

Lisie! licha twoja rada,
Ejże! czy to nie jest zdrada?

LIS (oburzony).

Tak mi srodze śmiesz ubliżać?
Co! lisowi niedowierzać!
Idź wprzód — ja za tobą sadzę,
Ja cię z miotu wyprowadzę.

DZIK.

Szpigelbergu! znam cię zdawna,
Twa rodzina już jest sławna...
Lecz cóż — bądź już mym patronem,

Idźże tuż za mym ogonem,
Lecz masz dzicze moje słowo!
Gdy idąc za twą namową
Jakiej biedy się nabawię,
To ci straszną łaźnię sprawię,
Kłem ci skórę zedrę z krzyża,
Że ją poślesz do kuśnierza.
(odchodzi w głąb.)

LIS (sam patrząc za odchodzącym dzikiem).
Tak idź głupcze w sidła moje!
Już się twoich kłów nie boję
Na sztych sadzi — pusta głowa —
Wprost na Pana z Świtarzowa.
(Słychać wystrzał).
Dobrze ci tak — zły potworze!
Ot! już kulę masz w komorze!
Ja za tobą nie polecę,
Twe warchlaki w mej opiece.
(Zbliża się do zabitej sarny).
Ty nadobna, młoda Pani!
Jak twój los me serce rani,
Ja twe zwłoki tu zagrzebię
I zapłaczę na pogrzebie,
Twój trup blady niech tu leży,
I niech czeka mej wieczerzy.
(Zagrzebuje sarnę w śniegu, — słychać hałas zbliżającej się pogonki).
Iść czy nie iść?... To pytanie!
Hamletowi rozwiązanie
Ja zostawiam takiej sprawy,
Lecz sam nie chcę tej zabawy,
Niech tam inni płacą skórą —
A od czegożem lisiurą!
Ja z pojęciem mojem bystrem
Mógłbym pierwszym być ministrem —
Nim się końca doczekamy,
Lis nie głupi! — Szust do jamy!
(Wskakuje do jamy).

(Zasłona spada).

ZAJĄC JEDYNAK

ZE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nie zawsze się nad papierami siedziało, przed laty pięćdziesięciu często bywało się w lesie i na błocie, z fuzyjką w ręku, na koniu przy dojeżdżaczu.

Dacieli temu wiarę?

Znaczną część lat moich młodych spędziłem w leśnej krainie tego Podlasia nadbużnego, które się ciągnie od Włodawy do Brześcia, a dawniej było niemal jednym lasów wielkich ciągiem. Należały one do dóbr rozległych Radziwiłłowskich i Sapieżyńskich, a Romanów mojego dziada Błażeja Malskiego kupiony był też od Sapiehów i od jednego z nich nazwany.

W takich lasach siedząc jakże tu było nie zostać myśliwym. Dziad sam nie był nim wprawdzie, ale syn jego a mój wuj, pan Wiktor, niegdy oficer artyleryi, człowiek wielce wykształcony, kawaler, literat trochę, więcej jeszcze artysta, należał do tych myśliwych namiętnych, zapalonych, dla których wszelki rodzaj łowiectwa jest najrozkoszniejszem zajęciem. Uczyć się tu było można wszystkiego, co do myśliwstwa należało, bo począwszy od łowów z ptakami, na które jeszcze z nim jeździłem, nie było rodzaju polowania, któregoby nie próbował. Psiarnia liczyła oprócz doskonałych ogarów wyborne charty, najlepsze wyżły i ulubione jamniki. Sokoły noszono i uczono jak za dobrych, dawnych czasów. Mieszkanie wuja Wiktora było całe przybrane w narzędzia myśliwskie, porządki i przybory od wabików poczynając do kordelasów. Siatki do krycia pod ptakiem przepiórek i kuropatw ubierały ściany, a sama ciotka Józefa je robiła i były bardzo ładne, bo tu wszystko mieć musiało pewną artystyczną cechę. Zresztą — jakem mówił — trudno tu było nie zostać myśliwym, — któż ze dworu nim nie był? Rachmistrz p. Więckiewicz, rządca p. Piwoni, wszyscy słudzy i oficyaliści, kucharze się nie raz wykradali do pobliskiego Kraszczyna, aby choć puknąć.

Lasy niezmiernie rozległe, przeszło sto włok, obfitowały w zwierza najrozmaitszego od sarn poczynając do wszelakiego ptactwa, a cośmy to nawykopywali lisów i borsuków!

Cóż to za śliczne były te dziś, niestety, wycięte i przerzedzone lasy, w których sosny stały jak kolumny w świątyni, a w Kraszczynie dębów w kilku objąć nie mogliśmy! Tu zapewne zakochałem się w lasach i gąszczach, a miłość tę dochowam im do grobu. Możeż być co na świecie piękniejszego nad las i więcej pociągającego? Las, który ma swój głos jak morze, swoją grę światła i cieni i bogaty jest jak świat, tak że na każdym kroku ciekawe oko coś spotyka w nim nowego — i badania godnego.

Niepamiętam oprócz Białowiezkiej puszczy, dobrze mi znanej, bogatszej Flory nad Romanowskich lasów. Białowieża wszakże wyniosłością swych drzew i ich ogromem przechodziła wszystkie, jakie mi się w Europie widzieć zdarzyło.

Oprócz p. Wiktora całe sąsiedztwo niemal równie myśliwskie było, jak on, Jasińscy, Szlubowscy, Frankowscy zapraszali na łowy i zjeżdżali się na nie. Całemi dniami albo się nie zsiadało z konia lub stało na przesmyku. Mnie się na takiem stanowisku nie nudziło nigdy, bo na najgorszem nawet oglądając się, można było zawsze znaleść coś ciekawego, to bardzo malownicze drzewo, to dziwnie urocze światła i cienie, to obok i pod nogami rośliny do zielnika, a osobliwsze mchy i grzyby.

A tam w dali — psy też muzyką swą ucho ciągnęły.

Wówczas już uchodząc za kawał literata, nie mogłem się dorobić reputacyi myśliwca. Wuj był dosyć pobłażającym, ale Jasińscy nielitościwie sobie żartowali z nowicyusza. Nie miałem też pretensyi jadąc do Rozwadówki na polowanie do nich razem z wujem i licznem towarzystwem, aby mnie na dobrem postawiono miejscu.

Było to jesienią — pan Roch nas rozstawiał i rzucił mnie na stracone imię u samego skraju lasu na ścieżynie.

— Zmiłuj się tylko do ptaszków nie strzelaj, nie zaśnij i nie zchodź z miejsca, aby cię kto nie postrzelił.

Miałem nie tylko fuzyę, ale i torbę, a w torbie bodaj tomik Schillera z Oblubienicą z Messyny. Intrygowały mnie w niej Chóry daleko więcej niż zwierzyna, która na mnie wyjść mogła. Postawiwszy więc strzelbę zacząłem czytać, ale rachowałem źle zabierając się do Schillera, żywy las więcej jeszcze mnie swą poezyą nęcił, niż dramat jego — Oblubienicy trzeba było dać pokój. Przelatywało ptactwo, szumiały

drzewa, jesienne kwiaty i jagody dokoła mi się przedrzeźniały i wabiły. Przysłuchiwałem się razem, czy też psy nie gonią, czy się strzały słyszeć nie dadzą. — Cisza głucha!

W początku to nic jeszcze, psów nie puszczono pewnie, ale upłynęła godzina — nic nie słychać, — druga, cicho.

Raz się przesunęły psy koło mnie tropiąc na próżno i znikły. Na ścieżce po za mną stojący myśliwi jakby się pospali, żaden ani puknie ani huknie.

Upłynęło godzin trzy — żywego ducha. — Las, który miałem przed sobą, rozpatrzywszy pod wszystkimi względami, dobyłem na nowo Schillera, zaczynało być nudno.

Właśnie książkę rozłożyłem, gdy przedemną w krzaku szelest słyszę. Myślałem zrazu, że znowu gończe się tu zabłąkały, wtem patrzę — w gąszczy pod krzakiem sterczy do góry para uszów zająca — nie widać więcej nic — słuchy tylko, któremi kręci. Miałem czas wziąć strzelbę i palnąć poniżej słuchów — znikły. Byłem tak pewnym, że zając uszedł szczęśliwie, iż mi się nawet pójść do krzaku nie chciało. Jednak idę zobaczyć. Nieborak leży zakrwawiony i dogorywa. Tryumf wcale niespodziewany — pociągnąłem go więc z sobą — i stoję znowu. Cisza głucha — a pókiż tego będzie — już zmierzcha. Naostatek słyszę dosyć ożywiony głos p. Rocha, który narzeka i gniewa się idąc z wujem razem. Polowanie nie udało się tak fatalnie, że nikt żadnej zwierzyny nie widział.

— Do czegoż ty strzelałeś, bo mi się zdaje, że słyszałem strzał z tej strony?

— Pewnie do ptaszka — rzekł p. Roch.

— Nie, do zająca.

— I cóż się z nim stało?

Usunąłem się, aby pokazać szaraka — zdumienie wielkie, kompromitacya jeszcze większa, ze wszystkich starych myśliwych nikt nie strzelał, a tu literatowi udało się nieszczęśliwego zająca upolować.

P. Roch opatrywał go posądzając mnie, czy gdzie zdechłego nie znalazłem, ale świeża farba świadczyła o zabójstwie.

W powrocie do Rozwadówki o niczem nie mówiono tylko o moim zającu, mówiono o nim w Romanowie i na długie lata pozostała w pamięci ta ofiara moja, — a nie mogę zaręczyć, czy to nie był jedyny zając, którego zamordowałem w życiu, bo kaczki często mi się udawało zabijać i pomnę, że mi jedna ogromna krzyżówka na głowę raz spadła — ale zająca drugiego — nie pamiętam.

Trudno temu dziś uwierzyć, że u nas w Romanowie noszono sokoły i polowano z niemi, przecie jeszcze mam dziś świadków na to, i bywały tak dobrze unoszone, że i na berło i na rękę wolno puszczone powracały. Woziła je zakapturzone na ręku ciotka i wuj, aleśmy ich inaczej nie używali tylko do krycia przepiórek i kuropatw, które się dobrze udawało.

Jamniki były doskonałe, do dziś dnia w pamieci naszej pozostała bardzo poczciwa, przywiązana, rozumna *Myszka*, faworyta prababki mojej i okrutnie zły *Wypłosz*. Przypominam sobie jednego wspaniałego lisa, którego koniec ogona wyniosła naprzód Myszka, a potemeśmy go wykopali i jak chwycił zębami za sosninkę mu podaną, tak go nią wyciągnięto i dobito.

Inne były polowania nasze nad Jasiołdą, na które Malski do rodziców moich przyjeżdżał, w tej ojczyźnie bataljonów, które całą groblę do Bogusławców prowadzącą zajmowały czasem, tłukąc się między sobą niemiłosiernie, i tuśmy chodzili na kuropatwy, kszyki i dubelty, których było dosyć, a Pan Chorąży nieboszczyk, strzelec dobry, nigdy z próżną torbą nie powracał.

Na tych trzęsawiskach, których dziś już śladu nie ma, bo błota osuszono później, cóż to było ptactwa, co za wrzawa wieczorami, co za chmury kaczek na przelotach, ile ich na wyżerach!

Stare dzieje! Pół wieku! kraj się nawet dziś tak zmienił, że gdzie my polowaliśmy na bekasy, dziś łąki suche i bujną trawą porosłe.

O BOBRACH NA LITWIE

PRZEZ

A. BARTHELSA.

Nieraz sobie gorzko wymawiałem, od czasu zaś jak „Łowiec“ wychodzi, wymawiam to sobie z większą jeszcze goryczą, że mieszkając lat tyle na Litwie, i mając wszelkie ku temu materyały, nie robiłem myśliwskich notatek, któreby obok miłych dla mnie wspomnień, mogły mieć w pewnym stopniu pouczającą nawet dla drugich wartość. Przekonywam się o tem zamierzając pisać dla „Łowca“ o bobrach litewskich. Gdybym był powziął lat temu trzydzieści myśl utrzymywania takich notatek, mógłbym dziś służyć „Łowcowi“, jak sam widzę nie nader niedokładnemi wiadomościami i ogólnikami, ale porządną statystyką tych zwierząt, niegdyś w całym polskim kraju pospolitych, dziś zaś bardzo już rzadkich i przechowujących się tylko w najniedostępniejszych miejscowościach Litwy, nad kilku nieznanemi nawet w geografii rzeczkami, a skazanych prawdopodobnie na zupełną zagładę, dzięki nieradności właścicieli i brakowi wszelkiej opieki prawa.

Najwięcej wszakże przyczynił się do wyniszczenia bobrów wyrób drzewa towarnego, skutkiem którego rzeki w stanie zupełnej dzikości zostające, zaludniły się lub zamienione zostały na spławne. Podług Rzączyńskiego *(Historia naturalis curiosa* 1721) bobry znajdowały się nad Wisłą i innemi Polski, Wołynia, Rusi, Mazowsza i Prus rzekami, najpiękniejsze i najkosztowniejsze o ciemnym, czarniawym, miękkim i gęstym włosie, tak zwane s z l a c h e c k i e, poławiały się w Litwie na rzekach Bobryk, Łań, Wielka, Niemen, na Polesiu w Pinie, Jasiołdzie, Kotrzy, Prypeci, Sławecznej, Horyniu, — bardziej na północ w Berezynie. Dziś wszystkie te rzeki prócz Łani (w Słuckim powiecie, o której będzie niżej) są mniej więcej spławne i przestały być najzupełniej siedliskiem bobrów, które do roku 1863 trzymały się tylko w jakiej takiej ilości i w jakiem takiem bezpieczeństwie, w kilku większych dominiach, nad kilku jeszcze rzekami w stanie zupełnej dzikości pozostałemi — mianowicie zaś w dobrach ordynacyi Kleckiej i Dawidgrodeckiej książąt Radziwiłłów, w dobrach poradziwiłłowskich księcia Witgensteina, w dobrach książąt Lubeckich na Polesiu, a także w małej ilości w dobrach Tyszkiewiczowskich i kilku właścicieli, mających znaczniejsze w lasach i błotach posiadłości. Z tych zacytować mogę około 50 chat bobrowych ordynacyi Kleckiej, w Słuckim powiecie, nad rzekami Łanią i Moroczą i kilka chat nad rzeką Brodnią, wpadającą do Berezyny, w powiecie Borysowskim, które mnie, jako mającego styczność ze sprawami Radziłłowskiemi, bliżej interesowały. Te kilkadziesiąt chat bobrowych miały nad sobą opiekę łowiectwa Radziwiłłowskiego

i kilku chat bobrowniczych przeciw licznym bardzo złodziejom na nie czyhającym, nie tylko bowiem okoliczni żydzi karczmarze i drobna szlachta tem rzemiosłem się trudniła, ale mnóstwo chłopów z Smoleńskiej aż gubernii przybywało tam na całe lato z żelazami, zaopatrując temiż miejscowych przemysłowców tego rodzaju, doskonale oznajomionych z miejscowością. Kilkakrotnie za mojej pamięci udało się myśliwstwu złowić po kilku tego rodzaju łotrów i dostawić do sądu, ale w tym kraju wszelkiego bezprawia, miało to tylko ten skutek, że po kilku dniach aresztu złodzieje opłaciwszy się policyi wracali bezpiecznie do domów, lub rozpoczynali na nowo swoje dobrze im się wypłacające rzemiosło. — To też od tego czasu, a było to około 1847 roku, łowiectwo postanowiło tego rodzaju sprawy załatwiać domowym sposobem, podwoiło czujność na rzece do tego stopnia, że aż jeden z myśliwców Jakób Czyrec padł ofiarą swojej gorliwości, dostawszy po kilkunastu nocach spędzonych na wodzie i w wodzie tyfusu, a następnie galopujących suchot, ale udało mu się wytropić, a następnie przy pomocy chłopów złowić sześciu złodziei, których już nie ostentacyjnie do sądu, ale najprywatniej przyprowadzono do psiarni, gdzie również prywatnie wsypano każdemu po sto harapników przez namoczone grube płótno, sposób mający tę dogodność, że nie osłabiając zgoła ostrości środka, nie zostawia po sobie najmniejszych śladów, tak, że po odbytej operacyi, wyprowadzeni najuprzejmiej pacyenci za obręb psiarni, nie znaleźli po wzajemnym examinie obrażonych części, nic takiego, na coby się sami nawet przed sobą poskarżyć mogli. Jakoż od tego czasu przez lat kilkanaście aż do r. 1862 panował w osadach bobrowych nad rzekami Łanią i Moroczą niczem nie zakłócony spokój, w czem dowód, że zniesienie kary cielesnej w Rosyi w sprawach cywilnych i kryminalnych, z zachowaniem jej tylko w sprawach politycznych całkiem było niewczesne, dąży bowiem do wytępienia bobrów i wszelkiej zwierzyny, z nadwerężeniem praw wszelkiej własności i spokoju publicznego, a rozmnożenia tylko Boholubowów, Zazuliczówien i policyantów.

Co się tam w obecnej chwili z bobrami dzieje, nie wiem, ale wnosząc z tego, co się tam dzieje ze wszystkimi, nie sądzę, żeby im było lepiej od innych mieszkańców Litwy, zmuszonych podpisywać dziękczynne adresa, dowodzące ich najszczęśliwszego losu pod opiekuńczą tarczą panslawizmu, nihilizmu i czynownikowskiego bandytyzmu.

W r. 1842 polując w tej okolicy na kaczki, pierwszy raz zwidziłem część rzeki Łani, zamieszkałej przez bobry, i widziałem ich chaty. Powierzchownie wydają się one jak stożkowate duże stosy chrustu, na brzegu rzeki wśród krzaków łozy stojące; jak zaś wyglądają wewnątrz, nie wiem, bo nie chciałem ani płoszyć tych biednych zwierząt, ani psuć im spokojnego schronienia. Było nas kilkanaście wtedy czółen i aniśmy się domyślali, że w czasie tych odwiedzin leżał na samym brzegu rzeki pod krzakiem łozy złodziej w najokropniejszym strachu o swoją skórę, ponieważ buty jego leżały o kilka kroków na czystej trawie, o czem dowiedzieliśmy się dopiero w parę dni potem od żyda karczmarza, takiegoż jak i tamten niewątpliwie złodzieja. To daje wyobrażenie, jak trudnem jest polowanie na tego rodzaju przemysłowców i z jakiemi trudnościami połączona jest straż bobrów. Że zaś dobry bóbr prócz skórki, wartującej zawsze kilka rubli, daje średnio około 25 łutów essencyi, która się z tak zwanego *stroju bobrowego* dobywa, płaciło się zaś od 6 do 9 rubli łut, nic dziwnego, że na to biedne zwierzę dużo jest amatorów gotowych zryzykować nawet coś z własnej swej skóry dla tak znacznej korzyści. Nie sądzę, żeby dzisiejsze bobry taką wartość mieć mogły, esencya czyli tak zwane krople bobrowe, mało jest dziś w medycynie używana, a i ta, jaka jest w aptekach, nie przypomina zapachem prawdziwej essencyi, skórki zaś, o których Rzączyński powiada, że pięknością, miękkością i ciemnością barwy równały się sobolom *(sobellis vel zebellinis)* i były wielkiej ceny *(magni pretii)*, i które dzieliły się na szlacheckie i chłopskie *(nobiles et rustici)*, dziś małą stosunkowo do amerykańskich i sybirskich mają wartość, gdyż są rude i twardego włosa. Podług tegoż Rzączyńskiego, w Berezynie miały się znajdować bobry białe, których jeden exemplarz umieszczony został w Muzeum drezdeńskiem, jako rzadkość.

W miejscowościach, gdzie się schodziły granice kilku obcych majątków i gdzie straż bobrów była już prawie niepodobną, myśliwstwo Radziwiłłowskie stawiało żelaza, na które od czasu do czasu łowiło się po kilka bobrów. — W jednym roku, pamiętam, zebrało się z takich bobrów przeszło 500 łutów stroju, za który dawano na miejscu po 6 rubli, czyli 3000 rubli za wszystko. Jadący podówczas do Paryża xiążę Leon Radziwiłł, spodziewając się daleko więcej, zabrał je z sobą. W Paryżu oświadczono mu, że wiedzą, iż to jest rzecz bardzo droga, ale nie wiedząc, co z tem robić, kupić jej nie mogą. W ślad za tem skradł mu je kamerdyner francuz, który nie wiem, jak na tem wyszedł, ale to wiem tylko, że to była w miniaturze jedna z tych czysto polsko-pańskich spekulacyi, dzięki którym całe fortuny tak przepadają, jak ów słoik strojów bobrowych. — Jedynym zyskiem były ogony, które ja zjadłem z grochówką, a że to jest przysmak na Litwie tylko znany, dodam tylko, że ugotowany ogon bobrowy ma smak delikatnej bardzo słoninki ze smakiem ryby połączony, wybornie do postnej grochówki przypadający.

Mięso bobra używa się także w dni postne, ale jest ono czerwone i ja przynajmniej nie znajdowałem je nigdy smacznem. Prócz bobrów budujących sobie chaty, są także bobry żyjące w norach wykopanych na urwistych brzegach rzeki. Takie bobry znam tylko w Wileńskiej gubernii, powiecie Oszmiańskim, w majątku Pierszaje hr. Benedykta Tyszkiewicza i wątpię, żeby gdziekolwiekindziej się przechowały.

W dobrach Radziwiłłowskich, oprócz wyżej wspomnianych przezemnie osad bobrowych, była jeszcze jedna chata na małej rzeczce w kniei zwanej Czernica pod samemi Radziwiłmontami, rezydencyi książąt Radziwiłłów, linii Kleckiej. Zamieszkiwał ją jeden tylko bóbr samotnik, żywiąc się olchą i łozą, któremi najniższa część tej kniei jest zarosłą, widywano go wieczorami na stawie z tejże rzeczki zformowanym, dopływającego aż do grobli i młyna, gdzie często straszył dzieci i kobiety niespodziewanem pluśnięciem ogona o wodę, podobnem do wystrzału z pistoletu. Ciekawe były okazy pni olchowych przez niego zębami ściętych, niektóre miały do stu centymetrów obwodu, i wierzyć się nie chciało, że to małe zwierzę mogło tak wielkiej pracy z pomocą dwóch tylko zębów tak umiejętnie dokonać. Leśnik tej kniei mówił mi, że mu się zdarza go spotykać nad takiem zwalonem drzewem, ogryzającego korę z gałązek i latorośli, i że zdawał się być z jego widokiem całkiem oswojony. Zdarzyło się, że raz ulokował się w czółnie, które myśliwy zostawił na brzegu, udawszy się z wyżłem na sąsiednie błoto, i długo bądź z figlów, bądź na seryo nie chciał z niego ustąpić drocząc się zwłaszcza z psem, jakby był pewny, że człowiek nic mu złego nie zrobi. Zdaje się, że był to jedyny exemplarz bobra żyjącego w tak bliskiem sąsiedztwie i w ciągłych, acz nie zbliżonych, stosunkach z ludźmi. Czy żyje dotąd i jak się biednemu pustelnikowi powodzi, starać się będę

powziąć wiadomość, której nie omieszkam „Łowcowi“ zakomunikować.

Pod miastem Borysowem są okopy usypane w r. 1812. przez Rosyan dla obrony mostu na rzece Berezynie przeciw Francuzom*). Przez okopy te, od tego czasu opuszczone, idzie trakt pocztowy do Mińska, a raczej objazdka tego traktu, skracająca piaszczystą bardzo drogę o kilkaset sążni. Jadąc raz tem miejscem ujrzałem jakieś zwierzę pełznące z trudnością po piaszczystym wale bateryi, — był to bóbr, który zapewne z rzeki Brodni dostawszy się na rzekę Berezynę, i chcąc ominąć most, na którym zawsze jest wielki ruch furmanek ze zbożem i solą, puścił się na piechotę w nadziei dostania się za mostem znowu na rzekę. Z pomocą służącego i woźnicy, ubezwładniwszy go narzuconą burką na głowę, wziąłem go na bryczkę, i zawiozłem do domu. Parę tygodni był u mnie, ale pomimo najczulszych starań, stosownie urządzonego mieszkania nad ruczajem czystej wody i wszelkich wygód, nie dał się oswoić, ani chciał dotknąć dawanych mu na pokarm latorośli łozy, i zdechł zapewne więcej z tęsknoty, jak z głodu. Żałowałem i po dziśdzień żałuję, żem go w jakiem dzikiem ustroniu, na których tam nie zbywa, nie puścił wolno, lub zamiast przeszkodzić, nie ułatwił mu dalszej podróży Berezyną. Zanadto wierzę w instynkt zwierząt, żebym wątpił, że tej jego emigracyi przewodniczyła jakaś myśl, dużo rozumniejsza od mojej czysto człowieczej, czyli głupiej, a która się tylko przyczyniła do jego zguby.

Zapewniano mnie, że za polskich czasów kradzież bobrów karano śmiercią, co bardzo być może, ponieważ i kradzież barci podobnąż karę za sobą pociągała. Wszakże w rozdziale XIII statutu litewskiego *o polowaniu*, to tylko o bobrach znalazłem: Art. IX: Kiedy kto ma w czyjej ziemi bobrowe gony, ma prawo żądać, aby właściciel tego gruntu ani sam, ani ludziom pozwolił podorać pole, lub karczować sianożęć w odległości jednego rzucenia kija od tego żeremienia. Pomimo całego uszanowania dla statutu i dawnego prawodawstwa, dziwić się nie można, jeśli właściciele gonów bobrowych kontentować się nim nie mogli, i uciekali się do energiczniejszych środków dla ich zachowania, a mianowicie do tego wyżej przezemnie przytoczonego, który tak skutecznie przez lat kilkanaście zapewnił spokój bobrom Radziwiłłowskim.

Nie przeczę, że kara śmierci za wydarcie barci lub zabitego bobra była tyraństwem, ale nie wątpię, że mniej w owe czasy ginęło bobrów, jak dziś listonoszów, proboszczów i innych spokojnych ludzi, a jakkolwiek ówczesna procedura sądowa mogła przedstawiać cośkolwiek do życzenia, skuteczniejszą wszakże być musiała od dzisiejszej, która wymaga, aby kilkunastu ludzi zdrowych na umyśle, długo i głęboko zastanawiać się musiało nad tem, czy morderca rozmyślny lub ojcobójca wart jest szubienicy — z rezultatem, jak to miało miejsce w znanej sprawie *Soulas*, że syn, który sześć razy z rewolweru dał ognia do swojego ojca, został jednomyślnie uniewinniony, ojcu zaś kazano korzystać z nauki, jaką otrzymał *(profiter de la leçon, qui lui a été donée)*. Dziwną tylko jest rzeczą, że obok tego istnieją jeszcze tak dorywcze procedury, jak te, które widzimy na Podlasiu, w Bulgaryi, Rumelii i wielu innych miejscowościach, gdzie każdy kozak skupia w sobie attrybucye całego sądu przysięgłych.

I możnaż po tem marzyć o nietykalności bobrów!

KORESPONDENCYE.

Przeczytawszy w „Łowcu“ wezwanie szanownej Redakcyi dotyczące nadsyłania ciekawych epizodów polowania, pospieszam donieść o tragi-komicznym wypadku z pojedynkiem (odyńcem), który mi się kilka tygodni temu wydarzył. Wiadomo, że po lewej stronie kolei Karola Ludwika, jadąc od Lwowa, znajdują się przeciętnie małe, kilkusetmorgowe laski, zadrzewione grabiną, buczyną i gdzieniegdzie dębiną, rozumie się młodą, postarano się bowiem, by stara dębina nie zawadzała spacerującym po lesie zajączkom i bardzo już rzadkim sarnom. W okolicy Sądowej Wiszni, gdzie mi się ten wypadek zdarzył, zwierzyna jest systematycznie i radykalnie tępioną tak przez wiejskich jak miejskich kłusowników. Lato czy zima, Czerwiec czy Grudzień — co na placu, to nieprzyjaciel. Ci panowie tak konsekwentnie wykonują swe rzemiosło, że zając staje się rzadkością, a poczciwe nasze kuropatwy ledwo że nie na sztuki policzyć się dają. Znając dokładnie te nieszczęśliwe dla zwolenników Nemroda strony i nie polując blisko lat pięciu na żadne żywe stworzenie z wyjątkiem lisów, chciałem się przekonać, czy też zwierzyna choć trochę przez ten czas się rozmnożyła, t. j. czy jej zacni kłusownicy rozmnożyć się pozwolili, a niestety c. k. żandarmerya snać nie ma w przepisach służbowych polecenia wytępiania kłusowników, tak jak ja lisów. — Tak więc po trzecim czy czwartym bezskutecznym miocie, w rozpaczy, że nic nie ma, stałem zniechęcony ze strzelbą na ramieniu, gdy w tem zdało mi się słyszeć znany mi dobrze *fuk* dzika. Kilka razy ów głos się odzywa, a ja byłem przekonany, że czeka mnie spotkanie z swojską świnią, żerującą w buczynie, nikt bowiem za mojej pamięci w tem miejscu dzika nie widział. W tem, cud nad cudami! Wychodzi ogromny pojedynek, prawdziwy, dziki, na kroków piętnaście, a ja piastuję w ręku moją Teschnerówkę z śrótem numeru 4-go w lufkach. Proszę się stawić w moje położenie. Po chwilowym namyśle strzelam z prawki na sztych, dzik jak zając przewrócił kozła, lecz w tejże chwili zrywa się i w największym pędzie przebiega koło mnie. Drugi strzał wymierzony za ucho nie zmniejszył szybkości biegu i dzik znika w zaroślach. Wysyłam co prędzej nagónkę z poleceniem objęcia kniei ogromnie gęstej, w której mi dzik znikł z oczów, a sam z drugim myśliwym i leśnym z strzelbą pojedynką stajemy na stanowiskach. Leśny stał koło mnie na kroków sto. Po chwili widzę, jak dzik poważnie i zwolna zchodzi z pagórka prosto na leśnego i kładzie się na kilka kroków koło niego. Biedny chłopak, który nigdy w swem

---

*) Uwaga. Chociaż to z bobrami żadnego nie ma związku, nadmienię wszakże, że okopy te miały być zajęte przez generała Czyczagowa, który z armią 60-tysięczną szedł z Mołdawii przeciw Napoleonowi. Zajęcie tak ważnego punktu przez tak znaczne siły byłoby przecięło Napoleonowi wszelką możność przeprawienia się przez Berezynę i uratowania resztek wielkiej armii. Dąbrowski widząc to, postanowił temu zapobiedz, dał rozkaz generałowi Kosseckiemu wstrzymać Czyczagowa, co też ten z kilku tysiącami formującego się na Litwie młodego wojska uskutecznił. Stanął pod Kojdanowem i przyjął bitwę, którą, ma się rozumieć, przegrał, ale tym sposobem zatrzymał Czyczagowa całe 24 godzin, to jest tyle, ile trzeba było Dąbrowskiemu do zdążenia z Bobrujska do Borysowa i zajęcia tych okopów przed Czyczagowem. Ztąd wynikła tak zwana batalja pod Borysowem między Czyczagowem i Dąbrowskim, która dozwoliła Napoleonowi przejść Berezynę pod Studzienką o parę mil wyżej, gdzie już mu nikt nie stał na przeszkodzie. Tej zasługi Dąbrowskiego, bez której Borysów byłby Sedanem Napoleona I, ani Thiers, ani żaden z historyków francuzkich tej kampanii, należycie nie wytknął, nawet o samej batalii pod Borysowem mówią z pewnem lekceważeniem, a musiała to być bitwa krwawa, kiedy w niej generał Zajączek stracił nogę.

życiu dzika nie widział, kłapie z swej nieszczęsnej jednorurki trzy razy, potem jakby mu szatan radę podszepnął, podbiega ku dzikowi, skacze nań i zadaje mu pchnięcia lufą w bok. Dzik nagle oprzytomniał. Jak błyskawica zrywa się i sunie naprzód, a ja widzę mego biednego Mykitę leżącego bezwładnie na brzuchu. Byłem pewny, że nieborak już rachuje się z sumieniem, bo dzik był to rycerz z ogromnemi szablami. Lecz o dziwo! Mniemany *moriturus* podnosi się zdrów zupełnie, tylko dobrze potłuczony. Dzik tymczasem w susach wybrał się przez pole do sąsiednich gminnych krzaków, w których ja polowanie dzierżawię. Musiałem tedy mimo woli wracać do domu, wysławszy leśnego za dzikiem. Byłem przekonany, że dzik lekko tylko skaleczony, powiedziałem więc sobie, że przepadł i — basta. Nazajutrz jednak, dowiedziawszy się od leśnego, że dzik w krzakach zaległ, wybieram się tym razem z kulami w lufach, by do stanowczej z nim stanąć walki. Przyjechawszy jednak do hr. Ł., dowiaduję się o smutnej a zarazem zabawnej historyi. Dzik wyszedłszy z lasu skierował się ku wyżej wymienionym krzakom i uważał za stosowne wybrać sobie gościniec, ciągnący się wzdłuż tych krzaków, jako najwygodniejszą drogę dla swego pochodu. Wieczór już był i nieszczęście chciało, że właśnie wracali z targu w Sądowej Wiszni dwaj dobrze podchmieleni gospodarze. Biedacy nigdy w życiu dzika nie widzieli, sądząc więc, że to zbłąkana „*swynia*“, jęli radzić, jakby to ją złapać można. Genialna przychodzi jednemu z nich myśl do zamroczonej wódką głowy, założyć tej *swyni* w zwykły sposób postronek na nogę. Wzięli się przeto bezzwłocznie do wykonania świetnego projektu. Nasamprzód (według ich własnego zeznania) obmacali go, czy tłusty, a „*swynia nyczoho ne howoryła*“. Przekonawszy się, że warto go uprowadzić, po czął jeden z nich postronek zakładać. W tej chwili „*swynia*“ jednym skokiem wywraca bliżej stojącego i łamie mu nogę pod kolanem, drugiemu zaś przecina udo od kolana. Na krzyk ich przeraźliwy przybiegło kilku chłopów z pobliskiej wsi, i dano natychmiast znać do dworu, że: „*je wełykij zwir*“. Ekonom hr. Ł. wybrał się pospiesznie z pojedynką śrótem nabitą, wziąwszy w pomoc kucharza z takimże samym instrumentem. Mimo gęstego kłapania i obsypywania śrótem, dzik już się ruszyć nie mógł. Widząc, że to wszystko życia go nie pozbawia, posłano po parobków, i dopiero za pomocą siekier, haków itd. zamordowano biedne zwierzę. Ciężko pokaleczonych odwieziono do wsi. — Taki koniec tej tragi-komicznej historyi i na swoją zgubę do nas zabłąkanego odyńca. Dzik był kolosalny — ważył przeszło 500 funtów wagi wiedeńskiej.

X.

Pogorzyce pod Chrzanowem, d. 10. Stycznia 1879.

Dziękuję za przysłanie statutów i „Łowca“. Ze wstydem przyznać się muszę, iż o istnieniu „Łowca“ dowiedziałem się od jednego z mych kuzynów w Królestwie zamieszkałego, który przed miesiącem będąc u mnie na polowaniu, dziwił się mej niewiadomości, i do zaprenumerowania „Łowca“ zachęcał. Zachęty nie było potrzeba, bo aż nadto było konfuzyi, że koroniarz za murem chińskim więcej o „Łowcu“ wiedział, jak ja tutaj osiadły. Nie należę do tej szczupłej garstki, którąby rozgraniczyć Galicyę w swych uczuciach chciała — kocham zarówno Warszawę, Lwów i Kraków. Dla tego też przy pierwszej sposobności odbyłem poszukiwania po wszystkich księgarniach krakowskich za „Łowcem“, niestety napróżno, nie złowiłem go nigdzie. To było przyczyną, iż udałem się do Redakcyi z prośbą o informacyę. Objawione mi życzenie, abym się wpisał do Towarzystwa, pochlebia mi bardzo, ale oraz zasmuca wzmianka, że z naszej okolicy nikogo prawie w gronie Towarzystwa nie macie. Czy nie jest tego przyczyną, że „Łowiec“ za mało używa reklamy? Jest on odpowiednio i przyjemnie redagowany, ale zarzuciłbym mu, że zbyt rzadko wychodzi, a chciałoby się go częściej czytać.

Muszę też nadmienić, że powiat nasz w kilku ostatnich latach zrobił pod względem stanu zwierzyny olbrzymie postępy. Później pozbierawszy wiarygodne daty, złożę wam sprawozdanie z polowań w mojej okolicy, a tymczasem, o ile to dla mnie możliwe, będę się starał przysporzyć Towarzystwu kilku członków.

Podczaski.

Wielkawieś, 10. Stycznia 1879.

Załączam list c. k. Starosty, który się do mnie udaje, jako do delegata Tow. łow., z zażaleniem, iż właściciel Słotwiny i Jodownik swego polowania nie szanuje, a nawet w niedzielę polować pozwala. Żąda odemnie zaradzenia złemu. W odpowiedzi na ten list prosiłem pana starostę, by wydał surowe polecenie organom policyjnym konfiskowania kuropatw od 15. Stycznia, zajęcy od 1. Lutego. — Korzystając z tej sposobności gorąco przypominam sz. Wydziałowi Towarz. łow., iżby w drodze petycyi udał się do Sejmu, mającego zebrać się w Marcu, o uchwalenie ustawy dodatkowej zakazującej polowanie w niedzielę i święta, a zarazem ustawy wprowadzającej upoważnienia do polowania *(Jagdscheine, permis de chasse)*, bez których nikomu nawet na własnych gruntach nie byłoby wolno polować. Bez tych dwóch ustaw wszystkie nasze przepisy i ustawy łowieckie nigdy prawdziwie w wykonanie nie wejdą. Według mego zdania pozwolenie polowania powinno być odnawiane corocznie i kosztować najmniej 10 złr. Z tego powstałby znaczny fundusz, który mógłby być użyty na premie i na specyalną straż łowiecką w kraju, a straż ta obok c. k. żandarmeryi i straży prywatnej będzie niezawodnie skutecznie przepisów łowieckich przestrzegać.

J. S.

Dora, 12. Stycznia 1879.

W nrze 5. „Łowca“ przeszłego roku doniosłem o złowieniu rysia, teraz mam nowy fakt. Dnia 20. Października polował pewien leśniczy we wsi Jamnej na sarny. Przypadkowo na pobereżnika jego wyszła samica ryś z dwojgiem młodych. Stara padła na miejscu od strzału pobereżnika, lecz młode pouciekały w las i nie można ich było znaleść. Zabity okaz był znacznej wielkości, z nader grubemi łapami, żółty z małemi czarnemi centkami. Zatem w dwóch następujących po sobie latach ubito w tej samej wsi rysia, a niedawno w Sołotwińskich górach w Jabłonnie ubito także rysia. Okazuje się więc, że ryś jeszcze pod Czarnohorą w znacznej ilości się znajduje. Skórę, ponieważ ją w rządowych lasach zyskano, wziął rządowy zarządzca w Dorze.

Z początkiem jesieni zeszła była w doły niedźwiedzica z dwoma piastunami i wałęsała się po lasach aż ku wsi Łojowej koło Nadwórny. Otropiono ją, starą i jedno młode ubito, a drugie młode uciekło.

Było również u nas w Dorze kilka stad dzików w jesieni w ilości 8 do 12 sztuk. Urządzono na nie trzy polowania, żadne jednakże nie udało się.

Słonek było w górach wiele, więcej nawet jak w okolicach równych Stanisławowa, Bohorodczan i t. d.

Zabłąkał się do nas jeleń, przybył jak się zdaje ze wsi Zielonej.

Stan zajęcy i sarn o wiele lepszy, a nawet śmiałbym powiedzieć dobry, osobliwie zajęcy, w tem jednakże jest kłopot,

że psy chłopskie na nie polują i gonią nieraz zająca dla przyjemności i dla korzyści własnej przez cały dzień. Lecz i lisów nie mało. W Poniedziałek przed Bożem Narodzeniem znalazł robotnik w lesie zająca bez głowy i twierdził, że to sprawka wilka, którego też tropy miał dojrzeć, jabym jednak sądził, że to lis lub kuna poczęły od głowy raczyć się złowionym przysmakiem i może czemś przerażone umknęły i zostawiły zająca w takim stanie.

I wydra się tu pojawia. W Grudniu brała się do pstrąga, który mógł mieć do dwóch stóp długości, jakimeś sposobem udało mu się jej wyrwać, oczy mu tylko wydrapała. Oślepionego złowił chłop i oddał zarządzcy. *C. K.*

Stary Sącz, 5. Stycznia 1879.

Sarna w areszcie sądowym. Dnia 21. Grudnia ubiegłego roku polowano w lasach wsi Obidzy o 12 kilometrów od Starego Sącza odległej. Psy gończe trafiły dwie sarny i zagnały się aż pod miasto, jedna z nich pomknęła do lasu miejskiego tuż przy mieście położonego, druga zaś wbiegła w ulicę zafrańciszkańską i wpadła na podwórze tutejszego sądu. W tej chwili nadszedł woźny, stary myśliwy, a spostrzegłszy sarnę, natychmiast zamknął bramę i przy pomocy jednego chłopa, czekającego przed sądem na wymiar sprawiedliwości, złapał ową zupełnie zdrową i wcale nieuszkodzoną sarnę. Wkrótce potem pojawił się drugi woźny, mający nadzór nad aresztami i wpadł na dosyć oryginalny pomysł zamknięcia sarny do aresztu. Tak więc biedna sarna, dotąd szczęśliwa i swobodna, dostała się bez oskarzyciela, bez rozprawy i bez wyroku do więzienia. — Gdy się dowiedziano o tem wydarzeniu, powstała *quaestio juris*, do kogo owa sarna ma należeć, ażali nie wypada ją uważać jako *res nullius*. Kwestya ta z powodu różności zdań nie została dotąd rozwiązaną.

W końcu nadmienić muszę, że w naszych okolicach, nie bardzo w zwierzynę bogatych, kłusownictwo bardzo się rozszerzyło. Wszystkie dotychczasowe środki zaradcze przeciw temu złemu dotąd nie doprowadziły i według mego zdania nie doprowadzą do pożądanego celu. Może się mylę, ale zdaje mi się, że zapobiedz tej klęsce może tylko wprowadzenie i należyte wykonanie ustawy odbierającej włościanom bezwarunkowo prawo posiadania broni i wydzierżawiania polowań. Taka ustawa przyczyniłaby się nie tylko do podniesienia moralności ludu wiejskiego (zaręczam, że zmniejszyłyby się po wsiach zbrodnie ciężkiego uszkodzenia ciała i zabójstwa, które tak często w sądzie są na porządku dziennym), ale także do podniesienia gospodarstw gruntowych i rzemiosł, które z powodu, że prowadzący je trawią drogi czas na myśliwstwie i pijatyce, upadają. Myśl tę podaję Towarzystwu łow. z prośbą, iżby ją raczyła wziąć pod rozwagę. *Jan Sitowski.*

KRONIKA.

„Czas“ a za nim inne dzienniki donoszą: Odbieramy smutną wiadomość o śmierci Ludwika Łempickiego, właściciela Burt w Podhajeckiem. Przedwczesna ta śmierć spowodowana nieszczęśliwym wypadkiem na polowaniu w sąsiedniej wsi Trościance, przecina dni człowieka w samym rozkwicie wieku, bo zaledwie 34 lat liczącego, a oddanego sumiennemu spełnianiu obowiązków obywatelskich. Zmarły był synem kasztelana Łempickiego. Służył w legiach zagranicznych cesarza Maksymiliana, i w swoim czasie podał „Przegląd polski“ kilka nader zajmujących jego korespondencyi z Mexyku. Brał czynny udział w powstaniu z r. 1863, następnie służył w armii austryackiej, wreszcie osiedliwszy się na wsi, wysoko przez sąsiadów ceniony, stał się wzorem umiejętnej i wytrwałej pracy.

Towarzystwo łowieckie traci w zmarłym nader gorliwego członka. Cześć jego pamięci!

Pragniemy usilnie zebrać wiadomości o znakomitych naszych myśliwych z czasów dawnych i zaledwo ubiegłych, również o łowiectwie owych czasów. W tym celu prosiliśmy w jednym z numerów „Łowca“ r. z. o przesyłanie nam zapisków tyczących się tego przedmiotu, a oraz udajemy się wprost do rodziny z prośbą o udzielanie nam wiadomości. Wskutek takich zabiegów z naszej strony otrzymaliśmy od Wnej A. Załęskiej notatkę, umieszczoną w 1. numerze „Łowca“ t. r.; na odezwę zaś do rodziny znakomitego myśliwego Nahujowskiego, odebraliśmy następną od niej odpowiedź:

Czernica 5. Grudnia 1878

„Z żalem donieść muszę, że między pozostałymi papierami po ś. p. teściu moim Antonim Nahujowskim nie znajdują się ani pamiętniki ani nawet notatki dotyczące myśliwstwa, — lecz i nam wiadomo, że nieboszczyk spisywał swe wydarzenia, które bez wątpienia mogłyby zająć i szerszą publiczność, jak nas zajmowały. Słyszałem, że przed śmiercią wziął je z sobą do Lwowa w celu przepisania, lecz komu je dał niewiadomo nam, i jakkolwiek lat już kilkanaście od tego czasu ubiegło, nikt się z tem nie zgłosił. Możeby ogłoszenie w „Łowcu“ posłużyło nam do ich odszukania, a my nawet najchętniej ofiarowalibyśmy za autograf wynadgrodzenie“.

Wincenty Podlewski
c. k. pułkownik.

Wzywamy przeto posiadacza notat ś. p. Ant. Nahujowskiego, by w celu przysłużenia się dobru publicznemu, raczył się z niemi zgłosić do rodziny jego lub do Redakcyi „Łowca“.

Towarzystwa łowieckie czeskie w Aussig i niższo-austryackie w Wiedniu przysłały nam swoje druki i wezwały do koleżeńskiego stosunku. Wezwanie to przyjęliśmy nader chętnie i odpowiedzieli również życzliwie.

Dnia 20. Grudnia polowano w Krasnem u Wincentego Gnoińskiego w lesie 250 m. mającym. Padło strzałów 110, zabito 45 zajęcy.

Dnia 21. Grudnla polowano w sąsiedztwie Krasnego w Ostrowie u Torosiewicza Klemensa w lesie około 250 m. Śnieg padał całą noc przedtem i przez cały czas polowania tak, iż niepodobna było utrzymać pogonki w równej linii. Mimo to padło 56 strzałów, a zabito 25 zajęcy i kozła. W każdym miocie były sarny, jednak z powodu wysokiego i miałkiego śniegu jak również i okiści bardzo silnej, rozpoznanie było prawie niepodobnem.

Dnia 30. i 31. Grudnia polowano w Jasionowie u Władysława Gniewosza. Pierwszy dzień był bardzo piękny, drugi bardzo wietrzny przy ciągłym prawie deszczu. Padło strzałów 186. Ubito 9 kozłów i 55 zajęcy. Strzelanych kozłów było 17 wliczając ubite. Nie było wypadku, by kto strzelił do spiczaka lub kozy. Rewir Jasionowski ma w 3 kawałkach 500 hektarów.

Dnia 4. b. m. polowano w lesie Firlejowickim, obejmującym 150 m. u Oskara Schnella. W przeciągu czterech godzin padło 98 strzałów, a ubito 1 kozła, 1 lisa i 30 zajęcy.

Upraszam sz. Redakcyę o ogłaszanie obszarów, na których odbywają się polowania, przy każdem sprawozdaniu. (P. R. prośbę tę do szanownych sprawozdawców zwrócić należy), gdyż tylko w ten sposób można rzeczywiście rezultata ocenić. I tak w sprawozdaniu, które posyłam, było mimo większej ilości strzałów i ubitego zwierza w Jasionowie, najlepszem polowanie w Krasnem, uwzględniając obszar leśny.
G.

Kamienna 22. Grudnia 1873.

Mam zaszczyt donieść w kilku słowach o polowaniu, zasługującem niezawodnie na chlubną wzmiankę w szpaltach naszego łowieckiego pisma.

Polowanie to odbyło się w Turce, majątku p. Edwarda Torosiewicza, położonym w Kołomyjskiem. Myśliwych było 15, strzałów padło 192, ubito jednego lisa, 3 rogacze i 68 zajęcy. Królem polowania był p. B. Słonecki, a łowy trwały 6 godzin niespełna. Lisów prawie wcale tu nie ma, innej zaś zwierzyny z każdym rokiem coraz większa obfitość, a wzmaga się jej liczba wskutek starannego dozoru i umiejętnego łowiectwa. Uprzejmy gospodarz podejmował swych gości nader serdecznie i gościnnie. Gdyby każdy posiadacz obszarów leśnych, tak starannie

szanował swoje knieje, to w krótkim czasie zbieralibyśmy równe z zagranicą plony z łowiectwa, — lecz niestety mamy jeszcze wielu takich, którzy dawnym trybem o każdej porze do wszystkiego, cokolwiek się nawinie strzelają, i po większej części tylko kaleczą, oddając postrzeloną zwierzynę na pastwę lisów i wilków. Jakżeż tu marzyć o wytępieniu kłusownictwa, gdy sami właściciele w ten sposób polując, stają się nimi. Dotąd oszczędzano ich, i nie podawano takich wybryków do publicznej wiadomości, lecz raz już trzeba wystąpić stanowczo przeciw nim, i bez wahania wymieniać nazwiska osób i miejscowości, w których podobne nadużycia się dzieją. *G. Głuchowski.*

Myców 12. Grudnia 1879.

Uwiadamiam, iż d. 9. t. m. na czterogodzinnem polowaniu u mnie odbytem padło 70 zajęcy na 223 strzałów. *A. Hulimka.*

W Chraplewie w W. Ks. Poznańskiem ubito w dwóch dniach 2 rogacze, 9 lisów, 280 zajęcy i 12 cietrzewi.

Na polowaniu u Wgo Zdzisława Skrzyńskiego padło na 135 strzałów 46 zajęcy, 5 rogaczów, 4 lisy. *Z. D.*

W Starzyskach u Wgo Edw. Weissmana położono na dwudniowem polowaniu w 8 strzelb na 174 strzałów 43 zajęcy, 5 rogaczów i 2 lisy.

Stanisławów 12. Stycznia 1879.

Przed kilku tygodniami polowano na dziki w Pawełczu o milę odległem od Stanisławowa. Objechano 3 sztuki. Skoro gońce się odezwali, wyszedł dwuletni wycinek na oficyała pocztowego, który z odległości 12 kroków strzelił, a kula trafiwszy w przednią łopatkę przeszyła go na wylot. Dzik padł, a myśliwy sądząc iż legł nieżywy, zapewnił o tem głośno swoich dwóch sąsiadów. Słysząc ów głos dzik zerwał się, ale nie mając sił do pochodu, stoczył się z pagórka, na którego szczycie właśnie się znajdował. Oficyał straciwszy go z oczów, pobiegł za nim i zbliżył się ku leżącemu u stóp owego wzgórza. Dzik zrywa się i rzuca na myśliwego, który tyłem się cofając utyka i pada na wznak. Na jego szczęście wycinek nie wiele miał sił, posuwał się z widocznem wysileniem opierając na tylnych racicach i ryju. Przerażony myśliwy chwycił go oburącz za kark i wołał rozpaczliwie o pomoc. Wnet nadbiegł najbliższy sąsiad jego pan D. i nie tracąc przytomności na widok tak groźnej sceny, zbliżył się na krok do dzika i wpakował mu kulę pękającą w głowę. Wycinek ani drgnął i powalił się całym ciężarem swoim na oficyała, który wyszedłszy cało z takich gorących opałów zapewne w całem życiu swojem nie zapomni owego spotkania z dzikiem.

Wypadek ów niechaj służy za przestrogę, by myśliwy nigdy nie szedł, zwłaszcza w gąszcze za postrzelonym dzikiem, raczej należy go otropić i jeżeli w miocie pozostał, powtórnie gonić. *P.*

---

22. Grudnia 1878.

W Dzikowie, majątku hr, Jana Tarnowskiego zabito na polowaniach w przeszłym tygodniu: rogaczy 15, lisów 10, zajęcy 218, kuropatw 5. Strzelców wraz z gospodarzem było sześciu, oprócz służby lasowej, której wolno tylko strzelać do lisów.

---

1. Stycznia 1879.

W Chorzelowie u hr. Jana Tarnowskiego padło na dwóch polowaniach t. j. 30. i 31. Grudnia 1878 242 zajęcy, 5 lisów, 1 kuropatwa. W skutek deszczu dnia 31. Grudnia późno zaczęto polować, ostatnie dwie nagonki były w polu, lecz z powodu błota i deszczu licho wypadły, cała zatem prawie zwierzyna ubitą była w lesie.

Polowano przy końcu Grudnia 1878 w Duninowie i Kułakowcach, w majętności spadkobierców hr. Edwarda Borkowskiego, zadzierżawionej przez p. Schnurpfeila i ubito w 12 strzelb na przestrzeni około 100 morgów lasu na równinie i stromych wyżynach w przeciągu czterech godzin 70 zajęcy. Strzałów padło 180. Nagonka nader starannie była prowadzoną przez p. T. R. Zacny i uprzejmy gospodarz gościnnie podejmował myśliwych. *J. K.*

---

6. Stycznia 1879.

Na polowaniu w Łańcucie, w rewirze Wydra zabito w jednym dniu 22 lisów w 6 strzelb. Hr. Artur Potocki zabił w tym dniu 10 lisów, a wydarzyło mu się to, jak sam przyznał, pierwszy raz w życiu. *W. W.*

Z nad Strwiąża 14. Grudnia 1878.

W naszej okolicy przecież poczęto strzedz polowań w lasach i na polach. Najprzykładniej i najdawniej prowadzi je Wny Celestyn Sozański, właściciel Kornałowic i już dziś cieszy się świetnym jak na nasz kraj rezultatem. Oto w zeszłym tygodniu odbyło się w Kornałowicach na przestrzeni 800 morgów polowanie, na którem padło 14 kozłów, 5 lisów i 106 zajęcy pomimo, że w części lasu do Kornałowic należącego, nie polowano dla zachowania tamże znajdującej się zwierzyny na dalszy rozpłodek. Licząc kozła po 8, lisa po 5, a zająca po 1 złr.. uczynićby to polowanie mogło rocznie 238 złr., gdyby nie szczodrobliwość polska Wgo Sozańskiego, który większą połowę ubitej zwierzyny swym gościom rozdarował. *Gaz. Nar.*

W Schwarzort w Prusach zach., złowili rybacy niedaleko od brzegu rybę, która tu nigdy dotąd się nie poławiała. Z niewielką trudnością wyciągnięto na brzeg umotanego siecią, na pół nieżywego **włócznika**. Długość jego wynosiła 9 stóp, a włócznia 3 stopy. Oczy były wielkości podwójnego talara, a ważył on prawie 2 cetnary. Ofiarowano go Muzeum zoologicznemu w Królewcu. *Sport-Zt.*

Dnia 14. Grudnia 1878 urządził p. Hess polowanie na jelenie w rewirze Huta, w państwie Sołotwińskiem. W pierwszym miocie był **krasny** (stary) jeleń, który z powodu niekorzystnego dla myśliwych wiatru szczęśliwie się wymknął, W drugim miocie był również krasny jeleń, łania i spiczak, z których pierwszy padł od jednego strzału kulą. Jeleń ów miał **wieńce** o dziesięciu gałęziach, ale były one cienkie i ponadłamywane. Ważył około 160 klgr. *E. L.*

Dowód to, iż jeleń nie wynosi się u nas, jak myśliwi twierdzą, na zimę do Węgier. — W Sołotwinie również złapał chłop w stempicę rysia.

W Porzeczu, gubernii Mińskiej na Litwie odbywało się trzechdniowe polowanie u Wgo Alexandra Skirmunta. Pierwszego dnia objeżdżano we trzech łosie, z których zabito 5; następnego dnia polowano z pogonką. W jednym miocie było trzydzieści kilka łosiów, z których padło 5. Trzeciego dnia ubito 4 dziki i jednego rysia. 5 łosiów zabił hr. Stanisław Gołuchowski.

„La chasse illustrée" podaje następną przygodę myśliwską: Przywodzimy opowiadanie pana Kiszeniew, bogatego ziemianina z okolicy Rygi, który niezawodnie może się liczyć do najznakomitszych myśliwych w Rossyi. Wyjechałem — mówi on — 10. Sierpnia 1878 z Helsingfors w towarzystwie dwóch myśliwych finlandzkich, i trzech moich domowników na dwóch wózkach, do których uprzężone były dzielne konie Nylandzkie. Konie te są średniej miary, imponującej powierzchowności, z nogami wprawdzie cienkiemi ale stalowej wytrwałości. Biegały z wiatrem. Zamiarem naszym było polować na reny i łosie, które w dosyć znacznej liczbie przebywały w pasmie gór piaszczystych ciągnących się wzdłuż całej Finlandyi od południa do północy i przydłuża się aż do Norwegii i Laponii. — Odległość od Helsingfors do pasma gór nie wynosi więcej jak 100 wiorst, ale przestrzeń ta poprzecinana jest ogromnemi bagniskami, ledwo przeto po czterech dniach stanęliśmy na miejscu przeznaczenia. U schyłku czwartego dnia przybyliśmy do Aborg, małej wioszczyny zamieszkałej przeważnie przez górników. O pięć lub sześć wiorst na wschodzie. wznosiły się poszarpane i obnażone szczyty gór, na południu zaś rozlegały się niziny bagniste. — Założyliśmy główne obozowisko w Aborg, i po dwudniowym wypoczynku ruszyliśmy ze wschodem słońca w pochód wziąwszy jednego górnika za przewodnika. Przewidując trudności, które nam nie pozwolą powrócić wieczorem do obozu, naładowali nasi ludzie na grzbiety koni żywność na dwa dni. Najjaskrawszy obraz nie zdoła odtworzyć charakteru ponurego i przerażającego tej okolicy. Po prawej stronie podnosiły się w górę olbrzymie masy skaliste prostopadle pokrajane urwiskami sięgającemi aż do szczytów, po lewej biegła nieskończona równina z moczarowatemi wzgórzami. Znajdowaliśmy się w nader dogodnem dla łowów miejscu. Po kwadransie starannego rozpatrywania przewodnik nasz z tryumfem podniósł ramię dając nam znak zbliżenia się ku niemu. Dostrzegł on świeże tropy gromadki rodzinnej łosiów, samca ogromnych rozmiarów, samicy i jednego młodego. Nadzieja spotkania się z tak rzadką zwierzyną, przejęła nas nie małą radością. Pozostawiliśmy służących z końmi w tyle poleciwszy im ruszać za nami w odległości jednej wiorsty. Nasz przewodnik obdarzony niezwykłą zmyślnością, szedł naprzód, i z wzrokiem ciągle w ziemię utkwionym prowadził nas wzdłuż mokradła zarosłego bujną trawą, w którym omal butów nie pogubiliśmy, aż na szczyt dosyć wyniosłego wzgórza, z któ-

rego rozlegał się widok niezmiernej gaidy (wyraz ludowy oznaczający dzikie pastwisko). Jednym rzutem oka zbadał całą równinę i spostrzegł o sto lub sto pięćdziesiąt kroków pasące się łosie. Po chwili dobiegliśmy do niego. Czy to zwietrzył wroga, czy może słyszał nasz chód, samiec zwrócił kilkakrotnie głowę w różne strony, okiem badając przestrzeń i strzygąc uszami z widocznym niepokojem. Zwietrzył nas — szepnąłem przewodnikowi. — Nie — odparł szeptem — z innej strony grozi mu niebezpieczeństwo, i wskazał ręką ku górom. — Mógłbyś pan z dobrym skutkiem strzelić z takiej odległości? — zapytał. — Mogę — Więc strzelaj pan natychmiast, za chwilę bowiem pomkną z szybkością wichru. — Uzbrojony byłem w wyborny sztuciec. Złożyłem się, strzał rozległ się jak grom i w tejże chwili łoś podskoczył w górę i runął na ziemię jakby porażony, widocznie kula przeszyła mu serce. Samica i młode znikły nam w tejże chwili z oczów. Uradowany tak trafnym strzałem, rzuciłem sztuciec na ramię i miałem zamiar zbiedz z wzgórza, gdy przewodnik wstrzymał mnie gestem. Po chwili nadciągnęli za nami służący z bagażami, łosia złożono na nosze i spiesznie oddaliliśmy się. W tej chwili począł śnieg padać i wnet pokrył ziemię. Nagle przewodnik zatrzymał się. — Słyszę wyjące wilki — rzekł. Nastawiliśmy uszy, i w istocie odezwało się z dala przeraźliwe wycie i zdawało się coraz bardziej zbliżać. Za pięć lub sześć minut będą przy nas — powiedział przewodnik. Rozpacznie spojrzałem na łosia, który naprzód miał się stać ofiarą żarłoczności wilków. Oczy nasze zwrócone były ku górom, zkąd wychodziło wycie, gdy w tejże chwili dostrzegliśmy śród zawiei śnieżnej pojawiającą się czarną massę, która podchodziła ku łosiowi. Niedźwiedź — zawołał przewodnik — a w tem ukazał się na otwartej przestrzeni, i jakoby się obawiał być uprzedzonym przez wilków nadciągających za nim, pędził szybko i wnet stanął nad martwym łosiem. Dwa lub trzy razy przewrócił go łapami, następnie począł lizać krew sączącą się z rany. Wycie coraz stawało się głośniejszem, i wkrótre spostrzegliśmy wilki wyskakujące z wysokiej trawy. Niedźwiedź o kilka kroków od łosia wyczekiwał zbliżenia się wrogów. Po chwili wypadły wilki z trawy i wcale nie troszcząc się obecnością niedźwiedzia, rzuciły się z szybkością gromu na łosia, w którym wnet utkwiło wiele paszcz z białymi i ostrymi zębami. Z razu niedźwiedź zdawał się być odurzony taką gwałtowną napaścią, lecz wnet ochłonął i rzucając się na najbliższego wilka, jednem uderzeniem łapy pogruchotał mu kości. Zwierzę padło na ziemię wznosząc łapy do góry i wyjąc żałośnie. Ta szybka exekucya stała się powodem powszechnej paniki, ale wnet wilki zebrały się w półkole okrążając niedźwiedzia. Ten z właściwą mu powagą obszedł łosia i zajmując stanowisko na wolnem miejscu między grzbietem a rogami łosia, darł go potężnie. Wilki scieśniły koło, którem otoczyły niedźwiedzia. Najzuchwalsze szarpały łosia za łapy odwracając się, skoro niedźwiedź w obronnej stanął pozycyi i atakując znowu, gdy uwaga jego od nich się odwróciła. Walka ta trwała dosyć długo z widoczną niekorzyścią niedźwiedzia, znikało bowiem mięso łosia ciągle w kęsach szarpane przez wilki. Niemi w osłupieniu byliśmy świadkami tego niezwykłego widowiska — cóżeśmy mogli innego czynić w takim chaosie rozżartych zwierząt. Gdy łoś w połowie był już pożarty, rozsądek nakazywał pójść za dobrą radą naszego przewodnika, który mniemał, iż lepiej wcześnie ustąpić z tego szczególnego pola walki, jak doczekać się końca jej, mogącego postawić nas w groźnem niebezpieczeństwie.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

LUTY.

W tym miesiącu zwykle poczyna śnieg tajeć i mamy już pole srokate, widok odległych gór i lasów odsłania się. W dzień N. Panny gromnicznej rozchodzą się według tradycyi myśliwskiej wilki z gromady, w tymże dniu rozwala niedźwiedź budę, gdy mróz się sroży, a poprawia i osłania ją, gdy odwilż. Borsuk budzi się ze snu, skowronki, zwiastuny wiosny wzlatują w górę, i pieśń nucą radośną, krzywonos i zimorodek ściele gniazdko i wysiada pisklęta, a borsuk pielęgnuje troje do pięciorga młodych w jamie, z której je wywiedzie, gdy słońce ziemię ogrzeje. Kuropatwy rozbijają się na pary, poczyna się ciąg dzikich gęsi i kaczek. Dziki jeszcze się fukają, stada trzymają się gąszczu i mrowisk, — jelenie wychodzą już na rzadsze lasy i zrzucają rogi, — kozioł trzyma się sarny i rogi mu się wykłuwają, a chętnie szuka bagnisk i oparzelisk leśnych, w których też głuszec i cietrzew przebywają. Zając leży w kotlinie zwróconej ku słońcu. Kuna leśna czyha ukryta w gniazdach gołębich, kruczych lub wiewiórczych na łup, a tchórz, domowa kuna i łasica gospodarują po strychach i dachach domowych. Ryś, żbik i wydra wygrzewają się na słońcu i rozpoczynają zaloty. Cieczka wilków ustaje, ale liszka się grzeje, a futro jej się psuje, i już myśliwy z mniejszym zapałem go szuka, chyba że lisy chce tępić, wtedy z jamnikami wydobywa je z jamy. Na wydry zasiada przy świetle księżyca. Jarząbek dobrze się wabi i na strzał przylatuje. Kończy się już wszelkie polowanie w kniei. Przezorny myśliwy naprawia i robi sieci, rozjazdy, poły, i chodzi starannie około psiarni, usuwając psy nieprzydatne do łowów, iżby zły płód się nie rozradzał.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.